



HARLEQUIN

GORĄCY ROMANS®



MIŁOSNE MENU

ELIZABETH BEVARLY

**Elizabeth Bevarly**

**Miłosne menu**

Tłumaczenie:  
Katarzyna Ciężyńska

## PROLOG

Hogan Dempsey niczego tak nie kochał jak metalicznego zapachu i dźwięków warsztatu samochodowego ojca. No dobrze, swojego warsztatu, bo ojciec od trzech lat nie żył. Mimo to Hogan wciąż myślał o tym miejscu jako o warsztacie ojca i nawet gdyby komuś go przekazał, niczego by to nie zmieniło. Co prawda nie planował tego, w każdym razie w najbliższej przyszłości.

Skończył dopiero trzydzieści trzy lata i nie miał komu zostawić warsztatu – matka nie żyła już od dawna, a w życiu Hogana nie pojawiła się kobieta, z którą planowałyby wspólną przyszłość od chwili... Właściwie nigdy.

Warsztat Dempseya był po prostu świetnym warsztatem, i tyle. Najlepszym w Queens, to na pewno, i pewnie najlepszym w stanie Nowy Jork. Klienci przyjeżdżali tu nawet z tak odległych miejsc jak Buffalo.

Hogan leżał właśnie pod jednym z samochodów z Buffalo, smukłym czarnym pontiakiem Trans Am z 1976 roku, wspaniałym dziełem amerykańskiej fachowości. Gdyby spędził resztę życia w zatłuszczonym kombinezonie, z rękami po łokcie w bebeczach silnika, umarłby jako szczęśliwy człowiek.

– Pan Dempsey? – dobiegł go głos z góry.

Męski, ale nieznany. Hogan spojrział w prawo i zobaczył nogi w spodniach w prążki i wyjściowych eleganckich butach, które pewnie kosztowały więcej, niż Hogan zarabiał przez miesiąc.

– To ja – odparł, nie przerywając pracy.

– Nazywam się Gus Fiver – przedstawił się mężczyzna w prążkowanych spodniach. – Jestem prawnikiem z kancelarii Tarrant, Fiver i Twigg. Możemy tu gdzieś porozmawiać na osobności?

Prawnik? Hogan się zdziwił. Czego chce od niego prawnik? Prowadził uczciwy interes, wszystkie sprawy miał w porządku.

– Możemy tu porozmawiać – odparł. – Niech pan wyciągnie leżankę monterską.

Ku jego zdumieniu Gus Fiver z Tarrant, Fiver i Twigg wiedział, co zrobić. Większość ludzi nie miałaby pojęcia, że leżanka monterska to rodzaj deskorolki, na której kładą się mechanicy, by dostać się pod podwozie samochodu. Co więcej, położył się na niej w tych swoich spodniach w prążki i eleganckich butach. Potem wjechał pod samochód. Od szyi w górę nie wyglądał na gościa w prążkowanych spodniach. Wyglądał jak koleś, z którym po robocie wypiłoby się piwo na Astoria Boulevard. Miał co prawda jaśniejsze włosy i był przystojniejszy niż większość takich koleś, mimo to miał w sobie tę aurę klasy pracującej, której nie da się całkiem ukryć.

Hogan to wiedział. Kiedy był nastolatkiem, starał się ukrywać swoje pochodzenie pod rozmaitymi przebraniami, co skończyło się tylko tym, że więcej niż raz przypomniano mu, że nie da się uciec od korzeni.

- Cud maszyna - rzekł Fiver. - Czterysta pięćdziesiąt pięć CUs. Silnik V-8. Trans Am z siedemdziesiątego szóstego był najlepszym samochodem typu pony car, jaki Pontiac kiedykolwiek wyprodukował.

- Poza GTO z sześćdziesiątego czwartego - zauważył Hogan.

- Taa, zgoda, ma pan rację.

Obaj mężczyźni uczcili chwilą ciszy świętą ziemię Detroit, która wydała takie cuda, po czym Fiver podjął:

- Panie Dempsey, czy coś panu mówi nazwisko Amherst? Philip Amherst?

Hogan zajął się znów samochodem.

- Proszę mi mówić Hogan. Nie, nic mi nie mówi. A powinno?

- Tak się nazywał pański dziadek - odparł Fiver.

Okej, Gus Fiver pomylił go z jakimś innym Hoganem Dempseyem. Ledwie pamiętał dziadków, gdyż rak zrobił spustoszenie w jego rodzinie. Ale żaden z dziadków nie nazywał się Philip Amherst. Na szczęście Hogan nie odziedziczył choroby nękającej jego bliskich, ponieważ został adoptowany zaraz po urodzeniu i...

I tu się zatrzymał. Jak każde adoptowane dziecko był ciekaw, kim było dwoje ludzi, których połączonemu DNA zawdzięczał swoje istnienie. Ale Bobby i Carol Dempseyowie okazali się wy-

marzonymi rodzicami, a myśl o tym, że ktoś inny mógłby pełnić tę rolę, nigdy mu się nie podobała. Nigdy nie pragnął odnaleźć swoich krewnych, nawet po stracie adopcyjnej rodziny.

Spojrzał na prawnika w milczeniu. Philip Amherst musi być jednym z jego biologicznych dziadków. Jeśli Gus Fiver szukał Hogana, to mogło znaczyć tylko jedno - dziadek chce go znaleźć. Hogan nie wiedział, co o tym myśleć. Potrzebował chwili, żeby...

- Niestety pański dziadek niedawno zmarł - podjął Fiver. - Jego żona Irene i córka Susan, która była jego jedynym dzieckiem i pańską biologiczną matką, odeszły wcześniej niż on. Susan nie wyszła za mąż i nie miała więcej dzieci, więc pański dziadek nie miał bezpośrednich spadkobierców. Po śmierci córki w zeszłym roku zmienił testament. Cały majątek przepisał na pana.

Hogan nie musiał już myśleć o drugiej rodzinie, którą mógłby poznać, bo wszyscy nie żyli. Jaką jeszcze niemiłą niespodziankę zaserwuje mu Gus Fiver?

Natychmiast uzyskał odpowiedź.

- Majątek pana Amhersta jest dość znaczny - ciągnął Fiver. - Zwykle w takiej chwili proszę spadkobiercę, żeby usiadł, ale w tych okolicznościach może wolałby pan wstać?

Nie musiał go dwa razy prosić. Hogan jednym pchnięciem wysunął się spod samochodu i zaczął krążyć. Dość znaczny. Tak Fiver określił majątek dziadka. Ale dość znaczny to jedna z tych fraz, która może oznaczać wiele różnych rzeczy. To może być sto tysięcy dolarów. Albo, jasna cholera, nawet milion.

Fiver też wstał, otworzył teczkę i wyjął dokumenty.

- Pański dziadek był bankierem i finansistą, który mądrze inwestował. Nie zostawił długów, za to mnóstwo aktywów. Jego główna rezydencja mieści się w Nowym Jorku na Upper East Side, ale był także właścicielem domów w Santa Fe, Palm Beach i Paryżu.

Hogan był wstrząśnięty. Chociaż słowa prawnika do niego docierały, miał wrażenie, że natychmiast mu się wymykają.

- Chodzi o Paryż w stanie Teksas, prawda?

Fiver się uśmiechnął.

- Nie, Paryż we Francji. Trocadéro, mówiąc dokładnie, w Szesnastej Dzielnicy.

- Nie wiem, co to znaczy. - Do diabła, Hogan nic z tego nie pojmował.

- To znaczy, że pański dziadek był bardzo zamożnym człowiekiem, panie Dempsey. A teraz, dzięki testamentowi i pokrewieństwu, pan także jest bogaty.

Potem wymienił taką sumę, że Hogan cofnął się o krok, jakby chciał się przed tym ustrzec. Nikt nie może mieć tyle pieniędzy. Zwłaszcza ktoś taki jak on. Ale właśnie wszedł w ich posiadanie. W ciągu kolejnych trzydziestu minut Fiver dał mu to jasno do zrozumienia. Na koniec oznajmił, że odbędą jeszcze kilka spotkań i dodał:

- Hogan, jestem pewien, że słyszał pan opowieści o ludziach, którzy wygrali na loterii, a potem ich życie się rozpadło, bo nie radzili sobie z odpowiedzialnością związaną z posiadaniem dużych pieniędzy. Radzę panu przemyśleć to wszystko, zanim podejmie pan jakieś ważne decyzje. I proszę się nie spieszyć.

- Tak zrobię - zapewnił go Hogan. - Dziwna rzecz, bo już nieraz myślałem, co bym zrobił, gdybym wygrał w totolotka. Gram od szkoły średniej.

Fiver był zaskoczony.

- Nie wygląda pan na hazardzistę.

- Mam swoje powody.

- I na co zamierzał pan przeznaczyć wygraną?

- Trzy rzeczy. - Hogan uniósł lewą rękę i wyciągnął palec wskazujący. - Po pierwsze na Shelby Daytona Cobra z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego. - Dołączył palec środkowy do wskazującego. - Po drugie na dom w Ocean City w stanie New Jersey. - Do dwóch palców dodał trzeci. Serdeczny, bardzo ważny. - Po trzecie... - uśmiechnął się - na Anabel Carlisle. Z Park Avenue.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Pani jest moją nową kucharką?

Hogan przyglądał się podejrzliwie młodej kobiecie stojącej w jego kuchni z biało-niebieskimi włoskimi kaflami, tak ogromnej, że zajęłaby dwie zatoczki w jego warsztacie. Chloe Merlin nie wydawała się dość dorosła, by użyć nożyczek o ostrych czubkach, a co dopiero mówić o nożu. Miała co najwyżej sto sześćdziesiąt cztery centymetry wzrostu, i to w czerwonych chodakach, czyli była około trzydziestu centymetrów od niego niższa. Miała na sobie za dużą białą bluzę szefa kuchni i zbyt luźne spodnie poplamione czerwoną papryką.

To te jej gigantyczne okulary, stwierdził Hogan. W czarnych oprawkach i zdecydowanie męskim stylu. Zdominowały jej twarz, sprawiając, że zielone oczy zdawały się olbrzymie. A może to niestaranny sposób, w jaki na czubku głowy związała niemal białe włosy. A może czerwona szminka. Nie miała innego makiżażu, jakby wykradła szminkę z kosmetyczki mamy, by z nią poeksperymentować. Wyglądała po prostu... tak cholernie...

Och, do diabła. Uroczo. Wyglądała uroczo. Hogan nie chciał nawet o tym myśleć.

Chloe Merlin miała być jego sekretną bronią, która pomoże mu zdobyć Anabel Carlisle z Carlisle'ów z Park Avenue. Widząc ją teraz, zastanowił się, czy byłaby w stanie pomóc mu wygrać choćby w bingo w hotelu Queensboro Elks. Jedną ręką trzymała worek marynarski, pod ramieniem drugiej usiłowała utrzymać coś, co wyglądało na zwinięte posłanie, chociaż było za cienkie na śpiwór. Na kuchennej wyspie obok niej stała skrzynka wypełniona roślinami różnej wielkości i kształtu. Zgadywał, że to zioła, choć nie miał pojęcia jakie. Wszystkie te wyżej wymienione rzeczy kompletnie nie pasowały do jej drobnej figurki. Jakby ją tam ściągnięto z innego wymiaru i wciąż usiłowała przystosować się do nowych praw fizyki.

- Ile ma pani lat? - spytał, zanim ugryzł się w język.

- Czemu pan o to pyta? - odparowała. - To niezgodne z prawem traktować wiek jako warunek przy zatrudnieniu. Mamy równe szanse w dziedzinie zatrudnienia. To nie najlepszy początek pierwszego dnia pracy.

Już miał jej powiedzieć, że to może być również ostatni dzień jej pracy, jeśli będzie się tak zachowywała, ale chyba zdała sobie sprawę, o czym myślał i go uprzedziła.

- Jeśli mnie pan teraz wyrzuci, po takim pytaniu mogę pana pozwać. Prawo będzie po mojej stronie.

No, no. Charakterna jak na taką kruszynę.

- Jestem po prostu ciekaw - odrzekł, co zresztą było prawdą. Miała w sobie coś takiego, że budziła ciekawość.

Jej ogromne okulary zsunęły się na czubek nosa, więc musiała je poprawić.

- Mam dwadzieścia osiem lat - oznajmiła. - Chociaż to nie pańska sprawa.

Chloe Merlin musiała być fantastyczną kucharką, bo na pewno nie została najbardziej poszukiwanym szefem kuchni na Park Avenue dzięki urokowi osobistemu. W nowym środowisku Hogana była ekskluzywnym symbolem statusu.

Kiedy tamtego dnia w warsztacie wymienił Gusowi Fiverowi powody, dla których chciał „zdobyć” Anabel, prawnik przekazał mu pewne pomocne informacje. Gus znał rodzinę Carlisle’ów i wiedział, że Anabel zatrudnia właśnie Chloe Merlin, kucharkę sławnych i bogatych. Tak świetną, że odkąd przed pięciu laty przyjechała do Nowego Jorku, była stale zatrudniana przez rozmaitych pracodawców, a przy każdej zmianie miejsca pracy otrzymywała znaczącą podwyżkę.

Zwerbowanie Chloe, czyli ukradnięcie jej zatrudniającej ją w danej chwili osobie, stało się ulubioną rozrywką bogaczy z Park Avenue, powiedział Gus. Anabel Carlisle była ostatnią zwyciężczynią w tej grze. Skoro Hogan zamierzał szukać kucharki, zatrudniając Chloe, czyli odbierając ją Anabel, zdobędzie uwagę tej ostatniej i znów pojawi się w jej życiu.

Patrząc teraz na Chloe, Hogan zaczął się jednak zastanawiać, czy ulubionym zajęciem mieszkańców Park Avenue nie było iry-



towanie nowego członka ich społeczności i czy to nie Gus Fiver był obecnym beneficjentem tej gry. Zatrudnienie Chloe kosztowało go fortunę, a niektóre ze stawianych przez nią warunków były idiotyczne. Nie wspominając o tym, że wyglądała dość... ekscentrycznie. Hogan nie znosił dziwaków.

- Jeśli chce pan coś zjeść dziś wieczorem, powinien mi pan pokazać mój pokój - powiedziała do niego tym samym chłodnym tonem. - Pańska kuchnia mnie zadowala, ale muszę zabrać się do pracy. *Croque monsieur* sam się nie robi.

*Croque monsieur*, powtórzył w myśli Hogan, choć ze złym akcentem. Co to, do diabła, jest? Czy będzie jej płacił horrendalne pieniądze za gotowanie czegoś, czego nawet nie lubi? Wystarczyłaby mu kanapka z szynką i serem.

Potem przypomniał sobie inną część jej wypowiedzi. Kuchnia ją zadowala? Poważnie? W tej kuchni mogłaby nakarmić księcia Liechtensteinu. Do diabła, książkę mógłby jeść z podłogi jego kuchni. Mogłaby w jednym piecu przygotować suflet wielkości Szwajcarii, a w drugim jednocześnie upiec całego miecznika. Hogan ledwie ją tu znalazł, kiedy pani Hennessey, odziedziczona po dziadku gospodyni, powiedziała, że nowa kucharka czeka.

Zadowala!

- Pani pokój jest...

Dom dziadka był dość duży, by uchodzić za niepodległe państwo, a Hogan wprowadził się tu dopiero wczoraj. Ledwie wiedział, gdzie jest jego pokój. Pani Hennessey przed zakończeniem pracy pokazała mu nawet pokój dla kucharki, a on uznał, że jest naprawdę zadowalający. Ale teraz nie mógł sobie przypomnieć, czy to było na trzecim, czy na czwartym piętrze.

- Pani pokój jest na górze - oznajmił w końcu. Kiedy wejdą na górę, chyba go rozpozna. - Proszę za mną.

O dziwo, ruszyła bez wahania, zostawiając coś, co wyglądało na zwinięte posłanie i skrzynkę z roślinami - te ostatnie chciała pewnie postawić pod dużymi oknami w kuchni. Wyszli z mieszczącej się na pierwszym piętrze kuchni do galerii ze zdjęciami i portretami ludzi, którzy, jak zgadywał Hogan, byli jego krewnymi. Za galerią znajdowała się jadalnia, której jeszcze nie wi-

dział.

Prowadził Chloe szerokimi półkolistymi schodami. W domu była też winda, ale schody wydały mu się mniej kłopotliwe, dopóki nie weszli na drugie piętro, a potem trzecie, gdzie, był prawie pewien, mieścił się jego pokój. Tak, trzecie piętro należy do niego. Rozpoznał mahoniową boazerię. Potem weszli na czwarte i ostatnie piętro, gdzie znajdowała się spora przestrzeń do wypoczynku i dwie sypialnie, każda z łazienką większą niż salon w jego mieszkaniu nad warsztatem.

- To jest pani pokój. - Wskazał na prawo, przypominając sobie, że to ten pokój pokazywała mu pani Hennessey, mówiąc mu, że jest większy i ma kominek.

Otworzył drzwi dość szeroko, by Chloe mogła wejść do środka. W pokoju dominowały granat i złoto, meble były z drewna czereśniowego, ściany zdobiły nieszkodliwe olejne pejzaże. Hogan uznał, że to pokój gościnny, więc raczej neutralny, jeśli chodzi o dekoracje, choć w jego mniemaniu bardziej męski. Mimo to przypadł do gustu Chloe.

- Jest łazienka *en suite*? - spytała.

- Jeśli pyta pani, czy przy pokoju jest łazienka, to tak - odparł i wskazał na drzwi obok. - Tam. - Tak sądzę, dodał w myśli. Bo równie dobrze mogła tam być garderoba.

- I drzwi zamykają się na klucz?

Domyślał się, że dla kobiety to ważne, choć byłoby miło, gdyby nie zadała pytania tonem, którym mogłaby kogoś oskarżyć o ciężkie przestępstwo.

- Tak - powiedział. - Ślusarz właśnie wyszedł, jedyny klucz jest w górnej szufladzie komody. Może się pani zamknąć też na zasuwę od wewnątrz, tak ja sobie pani życzyła w umowie.

Kiedy wszystko zostało ustalone, położyła swój worek na łóżku i nie patrząc na Hogana, powiedziała:

- Pokój jest do przyjęcia. Rozpakuję się i zamelduję się w kuchni, żeby sprawdzić zapasy. Dziś po południu udam się na zakupy. Kolacja będzie o wpół do ósmej. Codziennie. Śniadanie o siódmej. Jeśli będzie pan w domu w porze lunchu, mogę przygotować lekki posiłek i zostawić panu w lodówce, ale generalnie przedpołudnia i wczesne popołudnia spędzam, planując

menu i robiąc zakupy. Robię zakupy codziennie, żeby mieć pewność, że mam najświeższe składniki, wszystkie ekologiczne. Niedziele i poniedziałki mam wolne, chyba że będzie mnie pan potrzebował na specjalne okazje, w takim wypadku płaci mi pan za te dni podwójną stawkę. I...

- I dostaje pani dodatkowy wolny dzień w kolejnym tygodniu - dokończył za nią. - Czytałem i podpisałem umowę. Ma pani wolną Wigilię, Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia, pełnopłatne, bez wyjątków - zacytował. - Oraz trzy tygodnie wakacji w sierpniu, także z pełnym wynagrodzeniem.

- Jeśli jeszcze tu będę - wtrąciła. - To dopiero za dziesięć miesięcy - dodała bez cienia próżności. Najwyraźniej wiedziała o grze mieszkańców Park Avenue.

- Och, będzie pani - odparł. Ponieważ do sierpnia, jeśli dobrze to rozegra, zamieszka z nim Anabel, a jego ślubnym prezentem będzie dożywotni kontrakt z jej ulubioną osobistą szefową kuchni, Chloe Merlin.

Chloe jednak nie wyglądała na przekonaną.

Nieważne. On był tego pewien. Nie przejmował się wymaganiami i warunkami Chloe - od osobnego rachunku na wydatki związane z kuchnią, na którym każdego tygodnia zdeponuje określoną sumę i do którego tylko ona będzie miała kartę, do tego, że to ona będzie decydowała o menu. Tak, płacił jej sporo, by gotowała, co chce, pięć dni w tygodniu, i pozwolił jej mieszkać za darmo w jednym z najlepszych miejsc w Nowym Jorku.

Za to Anabel nie będzie miała wyboru, będzie musiała zwrócić na niego uwagę. A wtedy szybko zostaną parą. Więc ostatecznie wydatki na Chloe się opłacały. Poza tym i tak nie wiedział, co zrobić z pieniędzmi, które zostawił mu dziadek. Było tego dość, by wykarmić całe księstwo Liechtenstein. Hogan miał tylko nadzieję, że będzie mu smakował ten... jak mu tam... *croque monsieur*. Cokolwiek to jest.

Chloe Merlin w milczeniu przyglądała się nowemu pracodawcy, żałując, że uległa pokusie zarobienia dużych pieniędzy. Hogan Dempsey nie przypominał ludzi, którzy zwykle ją zatrudniali. Wszyscy byli uprzejmi, ale też generalnie lekkomyślni, więc

łatwo było nie zwracać na nich uwagi, co pozwalało Chloe skupić się na jedynej rzeczy, która się dla niej liczyła – na gotowaniu. Hogan Dempsey wydawał się bystry i prostolinijny, i coś jej mówiło, że nie da o sobie zapomnieć.

Nigdy nie spotkała nikogo o bardziej dominującej prezencji. Chociaż stał co najmniej półtora metra od niej, czuła, jakby na niej leżał. Był od niej ze trzydzieści centymetrów wyższy, włosy miał w kolorze pszenicy, oczy ciemne jak ziarna kawy. Chloe zawsze podobali się blondyni o brązowych oczach, a ten mógłby być ich królem. Na dodatek miał na sobie znoszone dżinsy, stare robocze buty i bluzę w kolorze owsianki, która widziała lepsze czasy. Był zbyt atrakcyjny, co stanowiło pewien problem. Raczej dla niej niż dla niego.

Uniosła rękę i przekręciła górny guzik białej bluzy. Ten gest miał jej przypomnieć o rzeczach, o których normalnie nie trzeba jej było przypominać. A jednak tym razem nie pomógł. Hogan wciąż był atrakcyjny. Dominujący. Jej okulary zaczęły się zsuwać, więc pchnęła je grzbietem dłoni. To był nerwowy gest, który towarzyszył jej od dzieciństwa, nie tylko dlatego, że czarne oprawki były na nią za duże.

- Więc... jak ma się Anabel? - spytał Hogan.

Ze wszystkich pytań, jakich mogła się spodziewać, to nie należało do pierwszej dziesiątki. Chociaż nie zrobił na niej wrażenia smakosza i już wypełnił kwestionariusz, który przygotowała dla pracodawców na temat ich kulinarnych oczekiwań, sądziłaby, że chciałby porozmawiać o jej pozycji w jego domu.

Wiedziała od Anabel, że łączyła ją z Hoganem jakaś dawna historia. Anabel próbowała nawet wyperswadować jej przyjęcie tej pracy, wspominając dawne zachowanie Hogana jako dowód jego małego wyrefinowanego podniebienia. Ale Chloe ta historia nie obchodziła. Liczyło się tylko gotowanie. Źle funkcjonowała, jeśli nie mogła mu poświęcić absolutnie całej uwagi.

- Anabel ma się dobrze - odparła.

- Miałem na myśli, jak się ma po rozwodzie - sprecyzował. - Rozumiem, że zaczęła pani dla niej pracować, kiedy mąż zostawił ją dla jednej z jej najlepszych przyjaciółek.

- To nie mój interes - oznajmiła. - I pański też nie. Nie zajmu-

ję się plotkami, panie Dempsey.

- Hogan - poprawił ją natychmiast. - I nie proszę o plotki, ja tylko...

Uniósł jedno ramię i opuścił je w jakiś ujmujący sposób, a potem niemal wzruszająco westchnął. A niech go. Ona nie ma czasu na wzruszenia.

- Chcę tylko wiedzieć, czy u niej wszystko w porządku - dodał. - Kiedyś byliśmy... przyjaciółmi. Dawno. Jakiś czas jej nie widziałem. Niektórzy ciężko przeżywają rozwód, więc chciałem tylko wiedzieć, czy u niej wszystko w porządku - powtórzył.

O Boże. On za nią tęsknił, pomyślała Chloe. Z jaką tęsknotą powiedział: „przyjaciółmi”. Tęsknił za Anabel Carlisle, która była dość przyzwoitym pracodawcą i dość miłym, lecz strasznie powierzchownym człowiekiem.

- Przypuszczam, że radzi sobie dobrze, biorąc pod uwagę... okoliczności - powiedziała głównie po to, by Hogan nie był taki nieszczęśliwy.

Właściwie nie знаła Anabel zbyt dobrze, choć pracowała dla niej niemal pół roku, dłużej niż dla kogokolwiek innego. Teraz, kiedy o tym pomyślała, doszła do wniosku, że Anabel radzi sobie lepiej niż dobrze. Nie spotkała szczęśliwszej rozwódki.

- Naprawdę? - spytał Hogan z nadzieją i żarliwością siódmo-klasisty.

- Naprawdę.

- Spotyka się z kimś?

Za chwilę ją poprosi, by przekazała Anabel jakiś list.

- Nie wiem. Tylko dla niej gotowałam.

To go chyba pocieszyło.

- A teraz, proszę wybaczyć... - Chciała znów powiedzieć „Panie Dempsey”, kiedy sobie przypomniała, że prosił, by zwracała się do niego po imieniu. Dotąd nie miała problemu ze zwracaniem się do pracodawców po imieniu, nawet jeśli wołałaby tego nie robić. Tym razem postanowiła tego unikać. - Chcę zabrać się do pracy.

Musiała wziąć się do pracy. To wielka różnica. Choć bardzo lubiła gotować, jeszcze bardziej tego potrzebowała. Miała nadzieję, że przekazała mu to dość jasno.

- Okej. - Nie krył niechęci. Pewnie chciał z niej wyciągnąć więcej informacji na temat Anabel, ale jeżeli jego pytania nie dotyczyłyby tego, jak bardzo Anabel lubi jej pistacjowe babeczki, powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia.

- Gdyby pani jeszcze czegoś potrzebowała - podjął - albo miała pytania, będę...

Po raz pierwszy wydawał się niepewny siebie, a nawet zagubiony. Musiała się powstrzymać, by do niego nie podejść i nie wyciągnąć ręki. Wiedziała, jak to jest czuć się zagubionym. Nikomu tego nie życzyła. Ale świadomość, że Hogan Dempsey czuje się zagubiony, była dla niej jeszcze bardziej przykra.

Och, niedobrze.

- W domu - dokończył wreszcie. - Będę u siebie.

Kiwnęła głową. Wolała milczeć, bo nie ufała swoim słowom - ani rękom, dopóki nie zamieni się znów w maszynę gotującą, która kieruje się wyłącznie dwoma zmysłami: smaku i zapachu. Ponieważ wszystkie inne, słuch i wzrok, a już na pewno dotyk, były po prostu zakazane.

Kanapka z szynką i serem.

Hogan podejrzewał, że to, co Chloe przed nim postawiła, zanim zniknęła znów bez słowa w kuchni, to kanapka. Był prawie pewien, że to dwie złożone kromki pieczywa z czymś na wierzchu, co prawdopodobnie też było serem. Już pierwszy kęs to potwierdził. Przygotowała mu kanapkę z szynką i serem. Może to nie była szynka firmy Oscar Mayer, którą kupował, zanim stał się obrzydliwie bogaty, a ser nie był tym serem w owiniętych folią plasterkach, mimo to *croque monsieur* była zdecydowanie francuską wersją kanapki z szynką i serem.

Pyszna wersja tej kanapki.

Do tego dostał coś, co wyglądało jak frytki - choć niezupełnie - i coś jeszcze, co przypominało surówkę z białej kapusty - choć nie do końca. Obie te rzeczy były bardzo smaczne. Kolacja, którą przygotowała dla niego Chloe, z niby-kanapką z szynką i serem, niby-frytkami i niby-surówką z białej kapusty, była najlepszą kolacją, jaką dotąd jadł. Och, do diabła. Może zatrudnienie Chloe opłaci mu się nie tylko dlatego, że dzięki temu odzyska

miłość życia. A w każdym razie swoją nastoletnią miłość.

Do kolacji Chloe podała piwo, które było zaskakująco dobre, chociaż założyłyby się, że nie było warzone w Milwaukee. Spodziewałyby się po niej raczej wina, sądził, że na tym zna się lepiej, i pewnie tak jest, ale dobrze wiedzieć, że się do tego nie ogranicza. Płacił jej tyle, że nie byłby zdziwiony, gdyby się okazało, że Chloe ma też pojęcie o astrofizyce i egzystencjalizmie.

Do kolacji dobrała też muzykę, i chociaż nigdy nie przepadała za jazzem, aksamitne tony saksofonu i pianina pasowały tu idealnie.

Ta kolacja znacząco różniła się od kolacji, do jakich przywykł – jedzenia z pojemnika na wynos albo z mikrofal, popijanego piwem z butelki, a do tego jakiś sport w telewizji. Gdyby miesiąc temu ktoś mu powiedział, że będzie jadł kolację w jadalni przy stole na dwanaście osób, z widokiem na drzewa i domy zamiast na neon Taco Taberny po drugiej stronie ulicy, poradziłby tej osobie, by udała się do lekarza, bo cierpi na halucynacje. Wciąż nie wierzył, że tak teraz wygląda jego życie. I podejrzewał, że może nigdy nie uwierzyć.

W chwili gdy odłożył widelec, Chloe zabrała talerz i postawiła przed nim filiżankę kawy. Nim znowu uciekła – nie wiedzieć czemu wydawało mu się, że próbowała od niego uciec – zatrzymał ją.

- Było pyszne – oznajmił. – Dziękuję.

Kiedy odwróciła się do niego twarzą, wyglądała na zdziwioną.

- Oczywiście, że było pyszne. Na tym polega moja praca, żeby było pyszne. – Potem dodała, jakby po namyśle: – Nie ma za co.

Kiedy znów chciała odejść, Hogan po raz kolejny ją powstrzymał.

- Już wiem, że *croque monsieur* to kanapka z szynką i serem, ale jak się nazywa to z ziemniaków?

Kiedy tym razem się odwróciła, jej mina niczego nie zdradzała. Przez minutę patrzyła na niego w milczeniu – minutę, w której ze zdumieniem odkrył, że umiera z ciekawości, o czym ona myśli. W końcu odparła:

- *Pommes frites*.

- A to zielone?

- *Salade de chou.*

- Fantazyjnie - odparł. - A czy to nie była po prostu kanapka z szynką i serem, frytki i coleslaw?

Lekko zacisnęła muśnięte czerwona szminką wargi.

- Dla pana? Tak. A teraz, jeśli pan pozwoli, deser...

- Może poczekać - dokończył. - Proszę usiąść. Powinniśmy porozmawiać.

Nie odwróciła się do drzwi. Ale też nie usiadła. Patrzyła na niego przez zmrużone oczy sponad okularów, po czym przesuwała je na miejsce grzbietem dłoni. Pamiętał, że już to robiła. Może za pieniądze, jakie jej płacił, stać ją będzie na nowe okulary, które będą pasowały. Albo nawet osiemdziesiąt par okularów.

- Proszę usiąść. Proszę.

- Czy był jakiś problem z kolacją?

Pokręcił głową.

- To była cholernie smaczna kanapka z szynką i serem.

Pomyślał, że poczuje się obrażona, iż zdegradował jej dzieło do czegoś tak zwyczajnego, co kupował w narożnych delikatesach. Zamiast tego odparła:

- Chcę stopniowo zmieniać pana nawyki żywieniowe. Jutro przygotuję panu *pot au feu*.

- Co to jest?

- Dla pana? Duszona wołowina.

- Kiepsko pani ocenia mnie i moje podniebienie, prawda?

- Nie oceniam ani jednego, ani drugiego, panie Dempsey.

- Hogan - poprawił ją.

- Mam zwyczaj dowiadywać się paru rzeczy o moim nowym pracodawcy, zanim zacznym dla niego pracować - ciągnęła. - To pomaga zaplanować menu. Kwestionariusz, o którego wypełnienie prosiłam, okazał się, powiedzmy, niezbyt pomocny w tym zakresie.

- Czy to nie ja powinienem to zrobić? - spytał. - Zdobyć jak najwięcej informacji o moim potencjalnym pracowniku, zanim zaproponuję mu pracę?

- A zrobił pan to?

Pewnie powinien był to zrobić. Zadowolili się rekomendacją



Gusa Fivera. No i tym, że kradnąc Chloe Anabel, zwróci na siebie uwagę.

- No...

Westchnęła z rezygnacją, a potem wyciągnęła krzesło i usiadła, stawiając przed sobą jego pusty talerz.

- Wiem, że dorastał pan w robotniczej dzielnicy w Astorii - zaczęła. - I że jest pan od bardzo niedawna bogaty, i to tak bogaty, że służby powinny się upewnić, czy nie drukuje pan banknotów. Wiem, że nie podróżował pan dalej na północ jak do New Bedford w Massachusetts w odwiedziny do dziadków ani dalej na południe jak do Ocean City w New Jersey, gdzie każdego lata spędzał pan z rodzicami tydzień w motelu Coral Sands. Wiem, że w szkole średniej był pan świetnym hokeistą i piłkarzem i że nie dostał pan stypendium sportowego, choć niewiele brakowało, więc nie poszedł pan do college'u. Wiem też, że pana ulubionym daniem jest - tu powściągnęła grymas - wołowy klops z taco, a jedynym alkoholem, jaki pan pije, jest krajowe piwo. Nigdy nie przygotuję panu klopsa z taco.

Za skarby świata. To paskudztwo. Ale zapytał tylko:

- Skąd pani to wszystko wie? Pewnie niektóre z tych informacji można znaleźć w sieci, ale nie te o dziadkach czy Coral Sands.

- Nigdy nie szukałabym prywatnych informacji w internecie ani nigdzie indziej - odparła szczerze urażona, że mógł tak pomyśleć.

- Więc jak...

- Anabel mi to powiedziała, kiedy wręczyłam jej dwutygodniowe wymówienie. O nic nie pytałam - pospieszyła z wyjaśnieniem. - Kiedy dowiedziała się, że to pan mnie zatrudnia i zdała sobie sprawę, że nie stać jej na to, żeby zapłacić mi więcej, trochę się zdenerwowała.

Hogan się uśmiechnął. Anabel nigdy nie lubiła, kiedy coś działo się nie po jej myśli.

- I uznała, że mówiąc pani, jaki ze mnie głupek, przekona panią, żeby pani dla mnie nie pracowała, tak?

- Głupek? - Chloe wyglądała na zmieszaną.

Zaśmiał się.

- Nieważne.

Zamiast obrazić się na Anabel, Hogan się ucieszył, ponieważ to oznaczało, że go pamiętała. Nigdy nie kryła swojej opinii, że podziały społeczne istnieją nie bez przyczyny i nie powinno się przekraczać pewnych granic – nawet jeśli ona przekroczyła je dziesiątki razy, by z nim być, kiedy byli młodszy. Tak ją wychowano, takie poglądy jej wpojono, tak jak Hoganowi wpojono miłość do podrasowanych samochodów.

Jej rodzice, zwłaszcza ojciec, uparli się, by poślubiła mężczyznę, który dorówna jej statusem i majątkiem. Gdyby ich nie posłuchała, grozili, że ją wydziedziczą. To była jedyna rzecz, która mogła ich rozłączyć. Anabel dała mu to jasno to zrozumienia. A kiedy pojechała do college'u i zaczęła się spotykać z synem senatora, cóż... Hogan wiedział, że między nimi koniec, nie musiała mu tego mówić.

Tyle że ona nigdy mu tego nie powiedziała i wciąż od czasu do czasu, kiedy bywała w domu, spotykali się niezależnie od syna senatora. Jednak przez kilka kolejnych lat powoli się od siebie oddalali.

Ale nigdy nie powiedziała, że to koniec.

Właśnie dlatego, choć wyszła za męża za syna senatora, nie stracił nadziei, że pewnego dnia będą razem. Teraz syn senatora zniknął z horyzontu, a ich nie dzielił już majątek ani status. W jego żyłach płynęła równie błękitna krew jak w jej, a pieniądze, które odziedziczył, były równie stare i zatęchłe jak jej. Może dalej uczył się poruszać w świecie, który był dla niego nowy, ale nie był już outsiderem. Do diabła, właśnie wypił piwo ze szklanki, nie z butelki. To poważna zmiana. Niedługo...

- Chwileczkę – rzekł. – Skąd Anabel wie, że piję tylko krajowe piwo? Kiedy się spotykaliśmy, byłem za młody, żeby pić.

- Tego akurat sama się domyśliłam.

- Teraz warzy się u nas kilka naprawdę dobrych gatunków piwa, wie pani?

- Owszem. Ale to, które pan dzisiaj pił, było belgijskie. Dobre, prawda?

Tak, dobre. W weekendy i tak będzie kupował Sama Adamsa.

- Czy gotuje pani tylko francuskie dania? – Nie był pewien,

czemu przeciąga tę rozmowę, na którą żadne z nich nie miało ochoty.

- Wciąż myślimy o klopsie, tak? - spytała.

- Lubię też pizzę.

Wzdrygnęła się, ale milczała.

- I potrawkę z kurczaka - dodał.

Westchnęła zniecierpliwiona.

- Dobrze, mogę wprowadzić zmiany do mojego menu. Drobne zmiany - powiedziała.

Hogan się uśmiechnął. Zdobył przewagę. Był ciekaw, jak długo ją utrzyma.

- A odpowiadając na pańskie pytanie, tak, gotuję tylko francuskie potrawy. - Wyglądała, jakby chciała coś dodać, ale tego nie zrobiła.

A zatem Hogan spróbował z innej strony.

- Pochodzi pani z Nowego Jorku?

- Urodziłam się i wychowałam w New Albany, w stanie Indiana - odparła. Czowała, że będzie pytał o inne rzeczy, więc dodała z oczywistą niechęcią: - Wychowała mnie babka, bo rodzice... nie byli w stanie wychować mnie samodzielnie. Mémée przybyła tu po drugiej wojnie światowej, bo poślubiła Amerykanina, jej rodzice byli właścicielami bistra w Cherbourg. To ona nauczyła mnie gotować. Zrobiłam dyplom ze sztuki kulinarnej na Sullivan University w Louisville, które jest świetnym miastem, ale jeśli chodzi o restauracje, panuje tam ogromna konkurencja, a ja chciałam otworzyć własną restaurację.

- Więc przyjechała pani do Nowego Jorku, gdzie nie ma w tej dziedzinie konkurencji, co? - Uśmiechnął się, ale nie odpowiedziała mu uśmiechem.

Czekał, by mu powiedziała, jak znalazła się w Nowym Jorku, ale widocznie uznała, że skończyła swoją opowieść, ponieważ niczego więcej nie usłyszał. Choć wciąż miał mnóstwo pytań.

- Czyli chciała pani otworzyć restaurację, ale tymczasem gotuje pani w prywatnych domach. Jak długo?

Spojrzała mu w oczy.

- Pięć lat.

Zastanawiał się, czy dlatego tak wysoko ceniła swoje usługi

i upierała się, by mieszkać w miejscu pracy, bo oszczędza na własną restaurację.

- Czemu do tej pory nie otworzyła pani restauracji?

Wahała się przez krótką wymowną chwilę.

- Zmieniłam zdanie. - Wstała i wzięła jego talerz. - Muszę zająć się pana deserem.

Miał jeszcze w zanadrzu wiele pytań, ale jej postawa mówiła, że rozmowa dobiegła końca. A zatem spytał tylko:

- Co dostanę?

- *Glissade*.

- Co to jest? Dla mnie? - dodał, nim ona to zrobiła.

- Pudding czekoladowy.

Po tych słowach wyszła. Odprowadzał ją wzrokiem, widział, jak szła galerią do kuchni. Czekał, czy się obejrzy, czy chociaż odwróci głowę w bok. Nie, patrzyła przed siebie i szła, nie zwalnając.

Zaczął się zastanawiać, czy w jej życiu jest jeszcze coś - lub ktoś - poza gotowaniem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Drugiego dnia pracy Chloe wróciła z wczesnopopołudniowych zakupów i zastała Hogana w galerii między kuchnią i jadalnią. Był w innych niż poprzednio, choć równie znoszonych dżinsach i innej bluzie, ta była w kolorze dojrzałego awokado. Chyba nie słyszał, kiedy wchodziła po schodach, ponieważ bacznie wpatrywał się w jedną z fotografii. Możliwe, że gdyby nie robiąc hałasu, prześliznęła się do kuchni, nic by nie zauważył.

Prawdę mówiąc, byłaby wdzięczna, gdyby Hogan nigdy więcej nie zwrócił na nią uwagi.

Wciąż nie wiedziała, co w nią wstąpiło poprzedniego wieczoru. Nigdy nikomu nie mówiła, że wychowała ją babka, nigdy nie rozmawiała o swoim pragnieniu otwarcia restauracji. Dawno temu porzuciła to marzenie. A jednak kilka godzin po poznaniu Hogana opowiedziała mu to wszystko. To kompletnie nieprofesjonalne, a Chloe była całkowicie oddana swej profesji.

Ścisnęła mocniej torby z zakupami i niemal na palcach szła do kuchni. Była pewna, że szła bezdźwięcznie, lecz Hogan musiał wyczuć jej obecność, bo ją zawołał. Może powinna udać, że go nie słyszała? Do drzwi kuchni zostało najwyżej pięć czy sześć kroków.

- Chloe? - powtórzył.

Cholera. Odwróciła się do niego.

- Tak, panie Dempsey?

- Hogan - przypomniał. - Nie lubię, jak się do mnie zwraca panie Dempsey. Hogan, okej?

- W porządku - zgodziła się niechętnie. - Czego pan sobie życzy?

Kiedy ją zawołał, brzmiało to, jakby chciał ją o coś spytać. Teraz jednak patrzył na nią w milczeniu i wyglądał podobnie jak wczoraj, kiedy wydawał się zagubiony. Zaś Chloe znów musiała walczyć z chęcią, by go dotknąć, by go zapewnić, że wszystko

będzie dobrze. Nie, nigdy mu tego nie powie. To nieprawda. Nikt nie wie tego lepiej od niej.

Na szczęście Hogan wskazał zdjęcie.

- To moja matka - oznajmił. - Moja biologiczna matka - dodał. - Chyba jestem do niej trochę podobny. Co pani myśli?

Chloe myślała, że powinna się wziąć za gotowanie. Zamiast tego postawiła torby na podłodze i podeszła do zdjęcia. Hogan nie był trochę podobny do matki. Był do niej bardzo podobny.

- Nazywała się Susan Amherst - ciągnął. - Miała ledwie szesnaście lat, kiedy mnie urodziła.

Choć Chloe naprawdę nie interesowała się plotkami, słyszała historię Susan Amherst. Nie mogła tego uniknąć. Cała Park Avenue o tym mówiła, odkąd szczegóły testamentu Philipa Amhersta stały się wiedzą powszechną, od herbaciarni, gdzie spotykały się bogate damy, do kuchni, gdzie pracował ich personel.

Susan Amherst na początku lat osiemdziesiątych nagle postanowiła, że po maturze nie pójdzie do Wellesley i zamiast tego przez rok będzie wolontariuszką gdzieś za granicą. Mówiono wówczas, że była w ciąży i że jej ultrakonserwatywni rodzice chcieli to ukryć. Plotka głosiła, że wysłali ją do krewnych w północnej części stanu, a dziecko zaraz po narodzinach oddano do adopcji. Plotki na temat Susan ucichły, gdy wybuchł jakiś nowy skandal. Kolejnej wiosny Susan wróciła do domu, a w następnym roku poszła do college'u.

Aż tu nagle trzy dekady później pojawił się Hogan, a wraz z nim odżyły plotki.

- Jesteście bardzo do siebie podobni - powiedziała Chloe. A ponieważ rodzice Susan też byli na zdjęciu, dodała: - Jest pan też podobny do dziadka. - Nie powiedziała, że Philip Amherst był bardzo przystojny.

- Prawnik dziadka dał mi list, który dziadek napisał, kiedy zmienił testament. - Głos Hogana nie zdradzał jego uczuć, choć musiało mu towarzyszyć tsunami emocji. - Dziadek nie mógł mnie znaleźć, zanim umarł, ponieważ nazwisko rodziców adopcyjnych było utajnione. Choć z jego listu nie odnoszę wrażenia, że naprawdę chciał mnie poznać - dodał. - Dotarcie do właściwych dokumentów, żeby przekazać mi majątek, wymagało mnó-

stwa procedur. W każdym razie w liście napisał, że Susan nie chciała mnie oddać do adopcji. Wybrała mi nawet imię. Travis. Travis Amherst. – Zaśmiał się smutno. – Widzi mnie pani jako Trávisa Amhersta?

Prawdę mówiąc tak. Travis Amherst z Upper East Side brzmiałoby dla niej równie pociągająco jak Hogan Dempsey z Queens.

– Nieważne – podjął. – Moi dziadkowie wybili jej to z głowy, bo była taka młoda. Przekonali ją, że adopcja będzie najlepsza i dla mnie, i dla niej.

Spojrzał znów na zdjęcie. Susan wyglądała na nim na trzydziestoparoletnią kobietę. Miała na sobie czarną koktajlową sukienkę, z jednej strony stali jej rodzice, z drugiej były burmistrz Nowego Jorku. W tle widnieli jacyś ludzie na parkiecie, a za nimi orkiestra. Hogan nie wiedział, co to za impreza, ale Susan się nie uśmiechała.

– Moja matka nigdy nikomu nie zdradziła, kim był mój ojciec – podjął. – Zdaniem dziadka to był syn jednej ze służących, z którym matka potajemnie się spotykała. Myślę, że to go bardziej martwiło niż wiek matki. Chociaż to wszystko bez znaczenia.

Chloe czuła na sobie jego wzrok. Kiedy na niego spojrzała, jego oczy przepęłniała melancholia.

– Przeciwnie – powiedziała. – To ważne. Pańskie życie wyglądałoby inaczej, gdyby dorastał pan jako Travis Amherst. – A ponieważ nie mogła się powstrzymać, dodała: – To... trudne, kiedy życie sprawia taką niespodziankę. Zwłaszcza że to wszystko zmienia. Cokolwiek pan czuje, ma pan do tego prawo, nie musi pan udawać, że coś jest nieważne. To jest ważne – powtórzyła. – Bardzo ważne, Hogan.

Za późno zdała sobie sprawę, że nazwała go Hoganem. Za późno zdała sobie sprawę, że nie może tego cofnąć.

Ale Hogan chyba nie sądził, że popełniła błąd. Wydawał się wdzięczny za jej słowa.

– Dzięki – powiedział.

A ponieważ nic innego nie przyszło jej do głowy, odparła automatycznie:

– Nie ma za co.

Już miała ruszyć do kuchni, kiedy znów zaczął mówić tym swoim tęsknym głosem:

- Nie wyobrażam sobie, jak by to było, gdybym dorastał jako Travis Amherst. Musiałbym chodzić do prywatnej szkoły, gdzie pewnie grałbym w piłkę nożną i lacrosse zamiast w amerykański futbol i hokeja. Poszedłbym do college'u. Pewnie miałbym dyplom z biznesu albo finansów i studiowałbym w Europie. Teraz Travis Amherst miałby już jakąś pracę, nosiłby garnitury w prążki od modnego projektanta, którego nazwiska Hogan Dempsey nawet nie zna. - Potrząsnął głową. - Sama myśl, że musiałbym pracować w biurze zamiast w warsztacie, jest... - wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze - jest... W takiej pracy bym się dusił. Ale Travis pewnie by ją lubił.

- Zapewne - powiedziała. - A może nie. Może też wolałby pracę fizyczną. Nie dowiemy się tego.

- I nie ma sensu zgadywać - przyznał. - Jako Travis Amherst nie poznałbym mojej mamy ani taty, nie miałbym tych przyjaciół, których miałem całe życie. Miałbym całkiem inne wspomnienia...

Chloe skrzywiła się w duchu. On nie znał przeszłości, która mogła być jego przeszłością, zaś ona opłakiwała przyszłość, która się nie zdarzy.

- Muszę się wziąć do pracy. - Poprawiła okulary i cofnęła się o krok. - Przepraszam, ale... - Zrobiła jeszcze krok do tyłu. - Muszę gotować. Wybacz pan..

- Jasne - odparł. - Nie ma sprawy - dodał, choć brzmiało to inaczej. Wydawał się zmieszany.

Czyli jest ich dwoje.

Kiedy odwróciła się w stronę kuchni, zobaczyła panią Hennessey, która wchodziła na ostatnie stopnie. Gospodyni Hogana pod wieloma względami przypominała jej babkę. Nosiła takie same pudełkowate suknie w takich samych burych kolorach i zawsze spinała białe włosy w nienaganny kok na karku. Była rzeczowa i profesjonalna, taka jak Chloe. Przynajmniej jak dawna Chloe, zanim zaczęła pracować dla Hogana. Musi znów być profesjonalna, jeśli chce utrzymać tę posadę.

A ona tego chciała. Z powodu, którego nie była gotowa zgłę-



biać. Pani Hennessey oznajmiła:

- Na dole czeka Anabel Carlisle. Zaprowadziłam ją do salonu. Te słowa przywróciły Hogana do teraźniejszości.
- Anabel tu jest? Proszę jej powiedzieć, że zaraz zejde.
- Nie, panie Dempsey, ona przyszła zobaczyć się z panną Merlin.

Hogan otworzył usta. Powiedział jedynie:

- Hogan, pani Hennessey. Proszę mi mówić Hogan. - Potem spojrzął na Chloe. - Zgaduję, że wprowadziła zmiany w swoim budżecie i chce panią odzyskać.

Chloe powinna być zachwycona. To by znaczyło nie tylko więcej pieniędzy, ale też uwolnienie się od Hogana i jego łamiących serce spojrzeń. Powinna zbiec na dół i oznajmić Anabel, że z radością do niej wróci. Tymczasem nie była w stanie się ruszyć.

- Proszę przekazać Anabel, że zaraz zejdziemy - rzekł Hogan do pani Hennessey.

Gospodyni kiwnęła głową i ruszyła w dół. Chloe wciąż stała nieruchomo. Hogan zerknął na nią z ciekawością.

- Nie chce pani usłyszeć, co ma do powiedzenia?

Chloe kiwnęła głową. Chciała usłyszeć, co Anabel ma do powiedzenia, ale musi wziąć się do pracy. Gotowanie było czymś, co mogła kontrolować. Wypełniało jej myśli zapachami i smakami. Gotowanie przywracało światu równowagę. A ona bardzo potrzebowała równowagi.

- No cóż, to dowiedzmy się, o co chodzi - odezwał się ponownie Hogan.

Znów na niego spojrzała i natychmiast tego pożałowała, bo teraz wyglądał na szczęśliwego. A szczęśliwy Hogan był o wiele bardziej obehwładniający. Szczęśliwy Hogan przypominał jej czas i miejsca - i ludzi - dzięki którym była szczęśliwa. Te wspomnienia, bardziej niż cokolwiek innego, były powodem, dla którego zajęła się gotowaniem.

Nie rozumiał, czemu Chloe nie cieszy się ze spotkania z Anabel. No ale Chloe, odkąd ją poznał, chyba nic nie cieszyło. Nie znał tak poważnej osoby. Nawet gotowanie, o którym wciąż mówiła, właściwie nie sprawiało jej chyba radości. Potem sobie

przypomniał, że nigdy nie powiedziała, że chce gotować. Zawsze mówiła, że musi to robić. Dla większości ludzi to pewnie niewielka różnica. On zaczął jednak podejrzewać, że jest inaczej.

- Chodźmy zobaczyć, czego chce Anabel. - Pochylił się i lekko szturchnął Chloe ramieniem w ramię.

Tak się uchyliła, jakby ją dźgnął rozpalonym pogrzebaczem. Nawet cicho zaprotestowała i dotknęła ramienia, jakby ją uderzył.

- Przepraszam - powiedział, chociaż nie miał pojęcia, za co miałyby przeproszać. - Nie chciałem...

Dotknąć jej? Oczywiście, że chciał. Ludzie często tak robią, by dodać komuś otuchy. Chloe wyglądała, jakby ją postrzelił.

- W porządku - odparła, wciąż masując ramię.

Nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć, wyciągnął rękę w stronę schodów. Rzuciła mu ostatnie smętne spojrzenie i ruszyła przed siebie. Szedł za nią powoli, bo najwyraźniej potrzebowała dystansu, ale także po to, by przygotować się na spotkanie z Anabel. Wiedział, że w pewnym momencie na nią wpadnie - do diabła, sam to planował - ale sądził, że będzie to jakaś oficjalna okazja, gdzie znajdą się w liczonym gronie, a on będzie już na to gotowy. Nie spodziewał się, że Anabel pojawi się w jego domu, choć przyszła zobaczyć się z kimś innym.

Ściany przestronnego salonu wyłożono boazerią z klonu. Większą część marmurowej posadzki przykrywały grube orientalne dywany. Na półce nad kominkiem stały drewniane modele statków, zaś z obu stron kominka skórzane fotele. Sofę przysunięto do przeciwległej ściany.

Trzy okna sięgające od sufitu do podłogi wychodziły na podwórze na tyłach domu, i właśnie przez jedno z nich patrzyła teraz Anabel, stojąc do nich tyłem. Albo ich nie słyszała, albo ona też potrzebowała kilku dodatkowych sekund, by się przygotować. Czarne włosy, które nosiła kiedyś rozpuszczone do połowy pleców, teraz sięgały jej brody. Jej strój też różnił się od tego, co zapamiętał. Dawniej chciała wyglądać jak Cyganka, choć pewnie na stroje wydawała setki dolarów w sklepach na Piątej Alei. Tego dnia miała na sobie szare spodnie i sweter,

podkreślające kobiece kształty.

Nagle się odwróciła, jakby usłyszała jego komplement. Choć najpierw spojrzała na Chloe, nie wydawała się zdziwiona widokiem Hogana. Nie potrafił jednak powiedzieć, dla kogo był przeznaczony jej uśmiech.

- Hogan - odezwała się tym samym gardłowym głosem, który zapamiętała. Uwielbiał jej głos. - Miło cię widzieć.

- Ciebie też, Anabel. Jak się masz?

Poruszała się tak jak dawniej, z gracją i elegancją. Zachwycająca jak wtedy, kiedy byli nastolatkami. Prawdę mówiąc, teraz jeszcze bardziej mu się podobała. Zrezygnowała z mocnego makijażu oczu i ciemnej szminki, więc lśniła naturalnym pięknem. O dziwo, brak mocnego makijażu podkreślał błękit jej oczu, a wargi wydawały się pełniejsze.

Czekał na to gorąco, które zawsze czuł na jej widok, spodziewał się, że zabraknie mu tchu. Nic z tego. Zgadywał, że po prostu wyrósł z podobnych reakcji.

- Na pewno słyszałeś większość rewelacji na mój temat - podjęła, podchodząc bliżej. - Mój rozwód był głównym tematem w mieście, dopóki się nie pojawiłeś. - Znów się uśmiechnęła, był w tym humor i trochę nostalgii. - Chyba powinnam ci podziękować.

- Nie ma za co - rzekł, odpowiadając uśmiechem.

Naprawdę cieszył się, że ją widzi. Naprawdę świetnie wyglądała. Co z tego, że serce nie waliło mu tak, jak się spodziewał. Ludzie dojrzewają. Hormony przestają szaleć.

Anabel przeniosła wzrok na Chloe.

- Chciałabym, żebyś do mnie wróciła - oznajmiła, przechodząc do rzeczy. - Mogę ci zapłacić trzy procent więcej niż Hogan.

Spojrzał na Chloe. Wciąż wydawała się zszokowana tym, co stało się w galerii, cokolwiek to było. Zerknęła na niego, potem znów na Anabel. Cały czas milczała.

Podejrzliwa, pomyślał. Pewnie się zastanawia, czy on też coś dorzuci, skoro Anabel proponuje więcej. Zapłaci jej tyle, by ją zatrzymać. Zwłaszcza że dzięki temu Anabel może znów go odwiedzi.

- Podniosę ci pensję o pięć procent - zaproponował.

Anabel otworzyła usta w zdumieniu. Potem popatrzyła na Chloe.

- Dam ci sześć procent więcej - rzekła chłodno. - I cały sierpień płatnego urlopu.

Chloe po raz kolejny przeniosła wzrok na Hogana, a potem na Anabel. I jak poprzednio milczała.

- Osiem procent - odparował Hogan.

Anabel zmrużyła oczy, patrząc na niego dawnym spojrzeniem. To spojrzenie znaczyło: „Dostanę, czego chcę”. Zawsze tak patrzyła, zanim zgodził się pójść po bilety na występ jej ulubionego zespołu czy cokolwiek innego, czego akurat sobie zażyczyła. Musiał jednak przyznać, że zawsze mu dziękowała godzinami gorącego seksu. Cóż, może nie godzinami. Jako kochanek niezbyt się wówczas kontrolował. Ale z pewnością było gorąco.

Anabel nie przebiła jego oferty, powiedziała tylko:

- Dam ci apartament z widokiem na park.

Chloe chciała odpowiedzieć, ale Hogan ją wyprzedził.

- Podniosę ci pensję o dziesięć procent. - Nie dodał nic na temat lepszego pokoju ani dłuższego urlopu. Nie tylko dlatego, że miała już bardzo dobry pokój i więcej wolnego czasu niż przeciętny człowiek. Coś mu mówiło, że pieniądze są dla Chloe najważniejsze.

To właśnie wynagrodzenie stanowiło główny punkt jej kontraktu, wynagrodzenie sprawiało, że zmieniała pracodawców. Chloe Merlin potrzebowała pieniędzy. Dużo pieniędzy.

Po raz trzeci zerknęła na Hogana, a potem na Anabel.

- Przepraszam, Anabel - powiedziała. - Jeśli nie może mi pani zapłacić więcej niż pan... - zerknęła w jego stronę, tym razem bardziej zdenerwowana - to... obawiam się, że muszę tu zostać.

Zrobiła krótką, pełną oczekiwania pauzę, a kiedy Anabel pokręciła głową, ruszyła do drzwi.

- Przygotuję aneks do mojej umowy i dostarczę panu wieczorem - powiedziała do Hogana, po czym oddaliła się bez pożegnania.

- Straszny z niej oryginał - stwierdziła Anabel, kiedy Chloe znalazła się poza zasięgiem ich głosu.

W jej tonie nie było nic obraźliwego, tylko rzeczowość, którą pamiętał. Nie potępiła Chloe, stwierdziła fakt.

- Za to warta każdego grosza - dodała z westchnieniem i znów się uśmiechnęła. - Ale teraz najwyraźniej pracuje dla kogoś, kto jest poza moją ligą.

Hogan potrząsnął głową.

- Na odwrót, Anabel. To ty zawsze byłaś poza moją ligą. Sama tak mówiłaś. Więcej niż raz.

Skrzywiła się, chociaż on też nie chciał być złośliwy, tylko rzeczowy.

- Byłam głupim zarozumiałym dzieciakiem, kiedy się spotykaliśmy - oznajmiła. - Mówiłam mnóstwo rzeczy, których nie powinnam była mówić.

- Nie - zaprotestował. - Nie powiedziałaś niczego, z czym się nie zgadzałem. Miałaś rację. Pochodziliśmy z dwóch różnych światów.

- To nie dawało mi prawa do takiego zachowania. Rodzice wpoili mi swoją filozofię. Potrzebowałam lat, żeby odkryć, jak bardzo się myliłam.

W czym się myliła? Czy przesady rodziców uznała za błąd? Czy swoje komentarze? Popelniła błąd, zostawiając go dla syna senatora? Lepiej nie pytać o wyjaśnienie.

Kiedy byli młodszy, ze wszystkim się spieszyli. Pierwszy raz kochali się już po kilku dniach, prawie żadne spotkanie nie obyło się bez seksu. Czasami się zastanawiał, czy gdyby się tak nie spieszyli, sprawy potoczyłyby się inaczej. Tym razem nie zamierzał się spieszyć.

- Więc co u ciebie? - spytała. - Jak twoi bliscy? Wciąż od czasu do czasu myślę o ciasteczkach twojej mamy.

- Rodzice nie żyją - odparł. - Mama zmarła przed pięcioma laty. Tata dwa lata temu. Na raka. Oboje.

Sprawiała wrażenie, że ta informacja nią wstrząsnęła. Lekko ścisnęła jego ramię.

- Och, Hogan, tak mi przykro. Nie miałam pojęcia.

Położył rękę na jej dłoni.

- Skąd mogłaś wiedzieć. I dziękuję.

Przez chwilę milczeli. Potem Anabel opuściła rękę, skrzyżo-

wała ramiona i spojrzała na drzwi. Hogan chciał zadać jej jakieś pytanie, ale wolał nie poruszać tematu rozwodu, nawet jeśli nie wydawała się tym zdruzgotana. Domyślił się, że jej rodzice mają się tak jak zawsze. Może teraz odrobinę chętniej zaprosiliby go do siebie niż piętnaście lat temu, ale kto wie. Może jednak nie.

Choć bardzo się starał, nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć.

- Powinam już iść - stwierdziła. - Ciotka i wuj są w mieście. Spotykamy się w Rainbow Room. - Westchnęła jednocześnie z irytacją i czułością. - Zawsze chcą się spotkać w Rainbow Room. To świetnie, ale naprawdę wolałabym, żeby rozszerzyli swój repertuar. Poznali Per Se albo Morimoto. Albo Le Turtle. Kocham to miejsce.

I tak oto coś mu zasugerowała. Trzy restauracje, które lubiła. Wystarczyłoby, by powiedział: „Co za przypadek, Anabel, właśnie chciałem poznać coś nowego. Może zjemy razem kolację w jednym z tych miejsc. Ty wybierasz”. Umówiliby się na randkę. Jednak z jakiegoś powodu te słowa nie przeszły mu przez gardło.

Co prawda Anabel nie czekała na zaproszenie, ponieważ natchmiast podjęła:

- No cóż. Trudno się wyzbyć starych nawyków.

Kolejne niejednoznaczne stwierdzenie. Czy mówiła o ciotce i wuju? Czy może o sobie i Hoganie, o tym, że wciąż coś do niego czuje? Dawniej nie było tak trudno ją zrozumieć. I czemu po prostu nie zaprosił jej na kolację, by wiedzieć, co mu odpowie?

- Miło było cię znów widzieć, Hogan - powiedziała. - Cieszę się, że prawnicy Philipa Amhersta cię znaleźli - kontynuowała, robiąc kolejny krok do wyjścia. - Może nasze ścieżki niedługo się skrzyżują.

- Może - odparł.

Uniosła rękę na pożegnanie, a potem się odwróciła. Gdy już miała zniknąć w holu, Hoganowi przyszło do głowy pewne pytanie.

- Hej, Anabel?

Przystanąła i odwróciła się w milczeniu.

- Gdybym dorastał jako Amherst - zaczął. - To znaczy gdybyś

mnie poznała jako Trávisa Amhersta z Upper East Side, który chodzi do prywatnej szkoły i planuje studiować na Harvardzie, zamiast Hogana Dempseya, mechanika samochodowego...

Po raz kolejny się uśmiechnęła, i to z nostalgią.

- Travis Amherst nie byłby tobą. Byłby taki sam jak miliony chłopaków, których znałam. Gdybym spotkała Trávisa, nie wracałabym sobie nim głowy.

- Przecież zawróciłaś sobie głowę synem senatora - przypomniał. - A on z pewnością był taki sam jak milion innych.

- Tak, był. I spójrz, jak to się skończyło.

Słuszna uwaga.

- Uważaj na siebie, Hogan.

- Ty też, Anabel.

Posłała mu ostatni uśmiech, uniosła rękę w pożegnalnym geście, po czym znów się odwróciła. Słyszał jej kroki, które stopniowo cichły, a potem usłyszał, jak pani Hennessey otworzyła i zamknęła drzwi. Anabel zniknęła z jego życia tak nagle, jak się w nim znów pojawiła. A kiedy drzwi się zamknęły, Hogan pomyślał, że tak jak poprzednim razem Anabel nie powiedziała mu żegnaj.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Chociaż Chloe miała wolne niedziele i poniedziałki, rzadko wtedy odpoczywała. Zwykle rano wychodziła i często nie wracała aż do zmroku - a nawet później - lecz ten czas niemal zawsze poświęcała rzeczom związanym z gotowaniem. Czasami odwiedzała nowe sklepy albo zaglądała do już sobie znanych, by poznać ich ofertę albo kupić podstawowe artykuły. Czasami uczestniczyła w wykładach czy warsztatach poświęconych nowym trendom w sztuce kulinarnej. Odwiedzała interesujące ją restauracje, by się przekonać, co mają w menu i co z tego mogłaby zaadaptować. Brała udział w degustacjach serów, produktów wędliniarskich, piw i win.

Właśnie na jedną z takich degustacji wybierała się w poniedziałek po południu, gdy wpadła na Hogana, który wchodził tylnymi drzwiami. Od minionego tygodnia, kiedy Anabel próbowała ją zatrudnić, skutecznie go unikała. To również tamtego popołudnia przeżyła z nim kilka niepokojących chwil w galerii, które zakończyły się jej przesadną reakcją na jego koleżeńskie szturchnięcie.

Nadal miała to sobie za złe. W jego goście nie było nic niewłaściwego. Przeciwnie, starał się być przyjacielski. Ale to było nieoczekiwane, zwłaszcza że zrobił to ktoś, kto nie był jej przyjacielem.

To prawda, minęło sporo czasu, odkąd ktokolwiek dotykał jej po przyjacielsku. Minęło sporo czasu, odkąd ktokolwiek w ogóle jej dotykał. Robiła co w jej mocy, by unikać fizycznego kontaktu. Z kimkolwiek. Bo to jest po prostu nieprofesjonalne. Między innymi.

W przypadku Hogana ważne było właśnie owo „między innymi”, ponieważ nawet niewinny dotyk, lekkie szturchnięcie w ramię... nie było niewinne. Dla niej.

I dlatego tak bardzo uważała, by tamta sytuacja się nie po-



wtórzyła. Od owego popołudnia kolacja ograniczała się do podania Hoganowi jedzenia i wyjaśnienia mu, co jest na talerzu. Koniec z wynurzeniami. Koniec z siadaniem przy stole. I przede wszystkim koniec z kontaktem fizycznym. Jest jego kucharką. Koniec kropka.

Na szczęście do Hogana wreszcie to dotarło. Po trzech czy czterech wieczorach, kiedy unikała odpowiedzi na jego osobiste pytania, mówiąc w zamian coś na temat jedzenia, w końcu przestał ją zagadywać. Tak przynajmniej sądziła, dopóki na niego nie wpadła. Uśmiechnął się do niej tym swoim przeklętym czarującym uśmiechem i powiedział przyjaźnie:

- Cześć, Chloe. Dokąd pani idzie?

Po pytaniu zadany takim tonem i z taką miną zwykle następuje drugie: Mogę z tobą pójść? Wyglądał tak słodko, że coś w Chloe, co przez bardzo długi czas było zimne i twarde, zaczęło się rozgrzewać i mięknąć.

Przestań, powiedziała temu czemuś. W tej chwili przestań. Ale to coś jej nie słuchało. Bo właśnie poczuło się lepiej. A zatem starała się je ignorować.

- Pewnie w jakieś bardzo ładne miejsce - dodał. - Bo wygląda pani bardzo ładnie.

Zdawało jej się, że to coś tylko się rozgrzewało? Cóż, teraz to był raczej samozapłon. Sam jego uśmiech wywołał taki efekt. A także roboczy kombinezon umazany smarem, który powinien odstręczać. A Hoganowi tylko dodawał seksapilu.

Bohaterowie klasy robotniczej zawsze wydawali jej się cholernie atrakcyjni. Mężczyźni, którzy pracowali rękami i mózgiem, mogli pod koniec dnia wskazać coś konkretnego, co było pożyteczne dla ludzi, i powiedzieć: Hej, ja to zrobiłem. Nieuchronnie prowadziło to także do pytania, co taki mężczyzna mógłby z nią zrobić własnymi rękami, zwłaszcza pod koniec dnia.

Przesunęła wyżej okulary - to nerwowy gest, wiedziała, ale była zdenerwowana - i niewiele myśląc, odparła:

- Pan też ładnie wygląda.

Dopiero kiedy się zaśmiał, zdała sobie sprawę, co powiedziała, i natychmiast tego pożałowała.

Ale Hogan się tym nie przejął.

- Nie, ja wyglądam, jakbym spędził większą część popołudnia pod mercedesem Benz 300 SL Gullwing z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego, który należał do dziadka. Pani wygląda naprawdę ładnie. Więc dokąd się pani wybiera?

To były miłe słowa, choć Chloe miała na sobie czarną spódnicę, białą bluzkę, bordowy kardigan i czarne płaskie buty. Włosy związała na czubku głowy. Jak zawsze.

- Dziękuję - odparła skrepowana. - Wybieram się na degustację win.

Sądziła, że ta informacja położy kres pomysłowi, by do niej dołączyć, jeśli w ogóle wpadło mu to do głowy. Wciąż do kolacji podawała mu piwo - chociaż i w tym zakresie poszerzył swoje horyzonty - i miała nadzieję, że tego dnia znajdzie jakieś wina, które mu zasmakują.

- Brzmi to interesująco. - Choć w jego ustach wcale to tak nie zabrzmiało. - Potrzebuje pani towarzystwa?

Oczywiście, że nie potrzebowała. Od sześciu lat. A jeszcze precyzyjniej - od sześciu lat i ośmiu miesięcy. Sześciu lat, ośmiu miesięcy, dwóch tygodni i trzech dni - gdyby już liczyć po aptekarsku.

- Mam na myśli, że wiedza na temat win - podjął Hogan - pomogłaby mi, jeśli chodzi o Anabel, prawda? Powinienem znać takie rzeczy, jeśli mam się obracać w jej kręgach. Zrobić dobre wrażenie i tak dalej.

Miał rację, pomyślała. Anabel Carlisle zna się na winach i je lubi. Mogła zaprosić Hogana, by jej towarzyszył choćby z tego powodu. Bo jaki inny mogłaby mieć powód? Mimo to powiedziała:

- Prawdę mówiąc, ja...

Hogan jej przerwał:

- Świetnie. Proszę mi dać dziesięć minut, umyję się tylko i przebiorę. Zaraz wracam.

- Ale...

Hogan jednak już jej nie słyszał, bo biegł na górę.

Powinna wyjść, zanim wróci i później mu wyjaśnić, że wzięła jego słowa za żart. Naprawdę nie miała ochoty na towarzystwo. Czemu więc nie wymknęła się i nie ruszyła 67 Ulicą na Madison

Avenue, gdzie mogła zniknąć w tłumie słonecznego październikowego popołudnia? Czemu stała, jakby ją ktoś przygwoździł do podłogi? Co więcej, czemu cieszyła się perspektywą spędzenia popołudnia w towarzystwie Hogana?

Wciąż zastanawiała się nad tymi pytaniami i całym mnóstwem innych, gdy Hogan pojawił się dziesięć minut później. Był wyjątkowo punktualny. I niewiarygodnie przystojny. Dotąd widziała go wyłącznie w dzinsach, bluzach i brudnych kombinezonach. Teraz włożył spodnie khaki, koszulę w prążki i czekoladową marynarkę. W miejsce starych roboczych butów pojawiły się skórzane mokasyny – nie tak znoszone jak buty robocze, ale... pamiętały lepsze czasy. Jak wszystko, co miał na sobie.

Jak człowiek może odziedziczyć taki majątek i nie wydać choć paru groszy na buty i ubrania? No ale czy ona ma prawo go osądzać? Ostatni raz kupiła sobie coś z okazji... Cóż, nieważne, z jakiej okazji kupiła sukienkę. Nie nosiła jej już sześć lat. Sześć lat, osiem miesięcy, dwa tygodnie i sześć dni. Zresztą od razu się jej pozbyła.

Kiedy Hogan szedł w jej kierunku, znów poczuła gorąco, tym razem jeszcze bardziej przyjemne.

Nie! Nie było przyjemne. To nie ma nic wspólnego z przyjemnością.

Kiedy znalazł się bliżej, nad jego brwią zobaczyła niewielką plamę smaru, której musiał nie zauważyć.

- Gotowe – oznajmił, zatrzymując się przed nią.
- Niezupełnie – odparła.
- Nigdy nie byłem na degustacji win. Mam się przebrać?

Pokręciła głową.

- Nie. To nie jest uroczysta okazja. Tylko...

Walczyła z sobą, by nie unieść ręki i nie wytrzeć tłustej smugi z jego twarzy. Ten gest nie byłby bardziej niewłaściwy niż jego szturchnięcie ramieniem. Jednak z jakiegoś powodu nie mogła tego zrobić.

Wskazała na jego czoło, mówiąc:

- Ma pan plamę z jakiegoś smaru. Nad lewą brwią. Przetarł czoło... nie trafiając celu.
- Wciąż tam jest – powiedziała.

Spróbował ponownie wnętrzem dłoni. Znów nie trafił.

- Nadal tam jest.

- Mogłaby pani ją wytrzeć? - mruknął zniecierpliwiony.

Nie zrozumiał, że kontakt fizyczny nie wchodzi w rachubę po tym, jak przesadnie zareagowała na jego dotyk? Czy muszą przeżyć kolejny pełen zakłopotania moment, żeby to stało się jasne?

O dziwo jednak uniosła rękę. Ich oczy się spotkały, nie była w stanie przed nim uciec. Brązowe oczy Hogana, bardziej brązowe niż trufle i słodsze niż cukier z trzciny cukrowej, sprawiły, że w ustach jej zaschło. Palcem wskazującym lekko musnęła skórę nad brwią Hogana.

Jej pierwsza próba okazała się równie bezskuteczna jak jego wysiłki - nic dziwnego, skoro prawie go nie dotknęła. Ponowiła próbę, tym razem kciukiem, z nieco lepszym skutkiem. Ale smuga wciąż była widoczna. W końcu przeciągnęła po niej kciukiem trzy razy i brud zniknął.

Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, co dzieje się z jej oddechem. Wiedziała, że się zaczerwieniła, bo czuła, że policzki ją palą. Co gorsza, jej palce wciąż gładziły czoło Hogana, już nie w celu wytarcia smugi, ale dlatego, że było to przyjemne. Minęło tyle czasu, odkąd dotykała mężczyzny i czuła jego ciepło.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że Hogan zdawał się rozumieć jej emocje. On też lekko się zaczerwienił, źrenice mu się powiększyły. Niewiele myśląc, położył rękę na jej dłoni i delikatnie ją odsunął. Zamiast jednak ją puścić, trzymał ją i głaskał kciukiem wnętrze dłoni.

Ciepło, które czuła gdzieś w brzuchu, rozlało się po jej ciele. Doznanie było tak wszechobejmujące, że krzyknęła. Miała nadzieję, że dość cicho i on tego nie słyszał... choć od razu wiedziała, że usłyszał, gdyż przerwał kontakt wzrokowy... i przeniósł spojrzenie na jej wargi.

Przez jeden szalony moment pomyślała, że ją pocałuje. Już nawet odpowiednio odchyliła głowę, by mu nie przeszkadzały okulary, tak jak... Tak jak robi człowiek, który wie, że coś takiego może się wydarzyć. To była granica, do której pozwoliła posunąć się pożądaniu. Nie, nie pożądaniu, poprawiła się natych-

miast. Instynktowi. Minęło wiele czasu, odkąd cieszyła się seksualnym spełnieniem, którego pragnie każda ludzka istota. Hogan był bardzo atrakcyjny. To normalne, że reagowała na niego w określony sposób. To sprawa hormonów i chemii. Nic więcej. Chociaż i to było więcej niż dość.

Wciąż trzymał jej rękę, więc niechętnie sama się od niego uwolniła i cofnęła. Potem wzięła głęboki oddech, by uspokoić tętno. By zebrać myśli.

- No i już - powiedziała. - Od razu lepiej.

Miała nadzieję, że Hogan uzna, iż jej komentarz dotyczy plamy na jego czole. Choć słowa: „Od razu lepiej” dotyczyły jej samej.

Co prawda wiedziała, że jeśli o nią chodzi, już nigdy nie będzie dobrze. Zbyt wiele straciła. Ale teraz czuła się lepiej niż jeszcze pięć minut wcześniej, gdy dotykając Hogana, miała wrażenie, że na nowo ożywa. To było tylko okrutną złudą.

- Wszystko dobrze - powiedziała tak, jakby w to wierzyła. - Musimy iść. Nie chcemy się przecież spóźnić.

Hogan patrzył na Chloe i zastanawiał się, co się tu, do diabła, stało. Prosił ją tylko, by wytarła jakąś smugę z jego czoła, co powinno zająć sekundę. Oni tymczasem patrzyli sobie w oczy, oddychając tak ciężko, jakby właśnie się kochali. I to nieprzytomnie.

Jego ręka lekko drżała, gdy siłą woli w końcu ją opuścił. Cały był rozgorączkowany, jakby Chloe dotykała go całego, nie tylko jego czoła. O co tu chodzi? Jedyłą osobą, która ma prawo go rozpałać, jest Anabel. A nie prawie obca kobieta, i to z tak długą listą pretensji do całego świata jak most Brooklyński.

Potrząsnął głową, by wziąć się w garść. Potem ruszył za Chloe. Stała na ulicy obok drzewa, tyłem do niego, widział jej twarz z profilu, bo patrzyła w stronę Madison Avenue, choć nie wyglądała, jakby się gdzieś spieszyła. Prawdę mówiąc, miała rozmarzony wyraz twarzy, jakby nie myślała o degustacji win, ale o czymś... całkiem innym.

Hogan odsunął tę myśl. Chloe Merlin dała mu do zrozumienia, że chce trzymać się od niego z daleka, mając na myśli dy-

stans fizyczny, emocjonalny, duchowy i każdy inny. Od tamtego dnia w minionym tygodniu, kiedy od niego odskoczyła w galerii, zachowywała się do przesady profesjonalnie. Wszystkie jego próby, by ją lepiej poznać – zawsze chciał znać osoby, które dla niego pracowały – spaliły na panewce.

No ale nigdy nie znał nikogo takiego jak Chloe, więc może to był powód jego niepowodzeń.

Gdy do niej dołączył, była już jak zwykle chłodna i zdystansowana. W jej oczach znów widział obojętność. Zaciskała pomalowane czerwona szminką wargi. Poprawiła okulary, tym razem palcami zamiast grzbietem dłoni, w czym było mniej nerwowości. On jednak jeszcze nie zapomniał tego zmysłowego dźwięku uległości, który jej się wymknął, kiedy przeciągnął kciukiem po jej dłoni. I długo tego nie zapomni.

- Idziemy do nowej restauracji na Madison Avenue, zaraz za rogiem sześćdziesiątej siódmej – oznajmiła. - L'Artichaut. Otwierają się dopiero w przyszłym tygodniu, więc prócz degustacji win miło będzie trochę się tam rozejrzeć.

Nagle Hoganowi przyszło do głowy, że może trzeba zapłacić za udział w degustacji.

- Czy może pani przyjść z osobą towarzyszącą? Mam przy sobie portfel, ale nie mam dużo gotówki.

Coś takiego mógłby powiedzieć dawniej, kiedy brak pieniędzy był normalną sytuacją. Teraz zabrzmiało to, jakby się spodziewał, że Chloe za niego zapłaci, a przecież jego sytuacja się zmieniła.

- Nie trzeba płacić – odparła. - Impreza jest dla zaproszonych gości, a na moim zaproszeniu jest napisane, że mogę wprowadzić jedną osobę. Po prostu nie miałam kogo zaprosić.

No, no. Naprawdę musi być sensacją Park Avenue, skoro zaprasza się ją na takie imprezy. Potem nagle dotarła do niego druga część jej wypowiedzi i poczuł się o wiele szczęśliwszy, niż powinien.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani, że teraz ma pani towarzystwo.

- Nie, w porządku – odparła, choć nie zabrzmiało to szczerze.

- Jakoś trudno mi znaleźć sobie zajęcie, wie pani? To znaczy

teraz, kiedy kwestie prawne dotyczące spadku zostały załatwione, nie muszę już pracować. I choć bardzo lubiłem pracę w warsztacie, pomyślałem, że bardziej lubię nie pracować. Czy to nie jest marzenie wszystkich ludzi? Nawet tych, którzy lubią swoją pracę? Żeby nie wstawać codziennie rano do pracy?

- Nie wiem - odparła - czy wszyscy tego chcą.

Cóż, chyba wszyscy poza Chloe. Chociaż nigdy nie powiedziała, że lubi swoją pracę. Mówiła, że jej potrzebuje. Wciąż chciał wiedzieć, na czym polega różnica.

- Zawsze tak sądziłem - podjął. - Zacząłem pracować w warsztacie ojca i zarabiać, kiedy miałem czternaście lat. Sprzątałem, zajmowałem się kasą, załatwiałem różne sprawy w mieście, aż dorosłem i zająłem się samochodami. W szkole średniej miałem też inną pracę, w markecie na naszej ulicy.

Żeby Anabel miała wszystko, do czego przywykła, potrzebował dwóch pensji. Nie, ani trochę tego nie żałował. Była warta każdej dodatkowej minuty na jego karcie kontrolnej.

Chodziło raczej o to, że ciężko pracował przez ponad dwie trzecie życia. Kiedy Gus Fiver wymienił sumę, którą odziedziczył, Hogan zdał sobie sprawę, że mógł teraz wysypiać się każdego ranka i siedzieć długo w nocy, i cieszyć się milionem innych zajęć. Problem w tym, że nie był nocnym markiem, lubił wstawać wcześnie. I właściwie nie miał żadnego hobby. Nie pracował niespełna od dwóch tygodni, a już czuł niepokój.

- Nie wiem, jak niepracujący bogacze radzą sobie z bezczynnością - oznajmił. - To dziwne mieć tyle pieniędzy, na które nie zapracowałem. Nie chcę być jednym z tych, którzy wszystko dostają na tacy, rozumie pani? Muszę wymyślić, jak zasłużyć na swoje miejsce w świecie.

- Niektórzy bogaci ludzie znajdują sprawy, które pragną wspierać, zbierają pieniądze, żeby komuś pomóc. Mógłby pan zostać filantropem.

Pokręcił głową.

- Wolałbym, żeby ktoś mi powiedział, że czegoś potrzebuje, a ja wypisałbym czek. - Co zresztą już zaczął robić. - W działalności charytatywnej nie ma nic złego - dodał. - Po prostu nie czuję się dobrze, prosząc kogoś o pieniądze, nawet jeśli te pie-

niądze nie są dla mnie.

- Ale dzielenie się pieniędzmi sprawia panu przyjemność?

- No tak. Nie potrzebuję ich przecież. Sam dochód z inwestycji dziadka wystarczy mi do końca życia. Mam nie tylko ten niewiarygodny dom - dodał, wskazując kciukiem przez ramię. - Zostawił mi też trzy inne domy. Kto potrzebuje tylu domów? - Zanim odpowiedziała, podjął: - Dziadek kolekcjonował też samochody. Pod domem stoją zaparkowane cztery, a kolejne osiem w magazynie w New Jersey. Nie wspominając kolejnych dziesięciu w innych domach. Dwadzieścia dwa samochody. Do diabła, nawet ja uważam, że to za dużo, a zawsze się zastanawiałem, jak by to było kolekcjonować samochody.

Omam się nie uśmiechnęła, choć w jej oczach nie było śladu uśmiechu. On jednak zgadł, że jego narzekanie jest dosyć zabawne. Widząc jej reakcję, poczuł się lepiej.

- Więc tym się pan zajmował całe popołudnie? - spytała. - Patrzył pan na samochody zaparkowane pod domem?

Kiwnął głową.

- Są w nadzwyczajnie dobrym stanie. Może Philip Amherst nie był najlepszym ojcem i dziadkiem, ale znał się na samochodach. Obok mercedesa 300 SL gullwing jest ferrari snyder z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego i maserati berlinetta z pięćdziesiątego szóstego. A kiedy już myślałem, że dziadek był jednym z europejskich snobów, odkryłem pod plandeką niewiarygodnego chevroleta chevelle SS 427 z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego w absolutnie fantastycznym stanie...

Urwał, bo Chloe patrzyła na niego teraz ze szczerym uśmiechem, który tym razem widział też w jej oczach, i ten widok omam nie zaparł mu tchu w piersi. Cały czas uważał, że Chloe jest atrakcyjna. Dziwaczka, ale ładna. Ale kiedy się uśmiechnęła tak jak teraz, była... No, no... Naprawdę... Zdołał jedynie wyduśić:

- Co w tym zabawnego?

- Chyba znalazł pan swój cel.

- Co? Kolekcjonowanie samochodów? Nie, to za dużo. Usprawiedliwienie utrzymywania ich wszystkich...

- No to może niech pan zaprojektuje własny model - wtrąciła.



Pokręcił głową.

- Nie mam takich zdolności.

- No to niech pan zainwestuje w kogoś, kto je ma.

Już chciał odrzucić tę propozycję, ale się powstrzymał. To nie był wcale taki zły pomysł. Znał nawet kogoś, kogo mógłby wspomóc. Córkę jednego z pracowników warsztatu. Uczyła się jeszcze, ale znała samochody na wylot i miała świetne pomysły. Jej rodziców nie było stać na posłanie jej do college'u, ale Hogan mógłby to sfinansować. Pewnie w Nowym Jorku jest mnóstwo takich dzieciaków.

Musi jednak także dla siebie wymyślić jakieś zajęcie. Inwestowanie w młodsze pokolenie jest świetnym pomysłem, ale on też potrzebował celu w życiu. Całe życie pracował fizycznie. Nie wyobrażał sobie, żeby nagle został całkiem bezczynny.

Chloe się zatrzymała. Dotarli do celu. Wyglądało na to, że najbliższe godziny spędzi we francuskiej restauracji, degustując wina, na których się nie znał. Parę miesięcy temu na samą myśl o tym by się wzdrygnął. Tego dnia wydało mu się dobrym pomysłem na spędzenie czasu.

Spojrzał na Chloe. Popołudniowe słońce rozświetliło jej platynowe włosy, poruszany wiatrem kosmyk muskał jej policzek. Jej wargi już się nie uśmiechały, choć w oczach pozostał cień uśmiechu.

Tak, degustacja wina z Chloe to niezła perspektywa na popołudnie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Odkąd pięć lat temu zaczęła pracować jako osobisty szef kuchni, mieszkała w naprawdę pięknych domach, począwszy od pierwszej pracy u Lourdes i Alejandra Chavezów w ich czarującym domu z czerwono-brunatnego piaskowca, przez dom Jacka i Martina Ionesco przy Piątej Alei, aż po luksusowy apartament Anabel Carlisle przy Park Avenue. Wszystkie na swój sposób zapierały dech, i wszyscy pracodawcy wspaniałomyślnie dawali jej do zrozumienia, że w wolnym czasie może się u nich czuć jak u siebie. Także Hogan zapewnił Chloe, że o każdej porze jest mile widziana w każdej części jego domu.

Ona jednak nigdy nie odważyła się wyjść ze swojego pokoju w żadnym z poprzednich miejsc pracy, jeśli nie chodziło o gotowanie. Zadowalała się czytaniem książek, oglądaniem filmów albo poszukiwaniem artykułów w internecie, za każdym razem czegoś, co miało związek z gotowaniem. Nigdy nie pragnęła poznawać bliżej domów pracodawców ani angażować się w ich życie.

Czemu więc w domu Hogana nie mogła sobie znaleźć miejsca w swoim pokoju? Zastanawiała się nad tym kilka wieczorów po wyprawie na degustację wina, która okazała się zaskakująco miła. Nie tylko dlatego, że Hogan był miłym towarzyszem. Udoowodnił też, że ma całkiem wyrafinowane podniebienie, co zaskoczyło go w równym stopniu jak Chloe. Odkrył, że niektóre wina mu smakują. Co więcej, właśnie te marki by dla niego wybrała. Tak czy owak tamtego dnia prawie dobrze się bawiła.

Może dlatego nagle w pokoju ogarnął ją niepokój. Jakaś jej część miała ochotę wyjść i znów prawie dobrze się bawić.

Spojrzała na zegar na stoliku. Dochodziła północ. Hogan zawsze kładł się spać przed jedenastą. Wiedziała to, gdyż często mniej więcej o tej porze szła do kuchni zrobić sobie filiżankę herbaty Mariage Frères, zanim sama położyła się spać. Dom

był zawsze pogrążony w ciszy i ciemności poza małą lampką w kuchni, która paliła się, by Chloe mogła urządzać późnowieczorne wycieczki na przykład po herbatę.

Pewna, że Hogan już śpi, nie przejmowała się piżamą. A raczej czymś, co spełniało tę rolę – flanelowymi spodniami i T-shirtem François and the Atlas Mountains, jej ulubionego ostatnio zespołu.

Mimo wszystko starała się iść jak najciszej, w samych skarpetkach, zwalniając tylko na moment, by się przekonać, że drzwi sypialni Hogana są zamknięte, a wszystkie światła pogażone, także w pełnej księżek bibliotece. Była prawie pewna, że żadna z nich nie dotyczy gotowania, ale może znalazłaby dla siebie jakąś powieść...

Bibliotekę oświetlała jedynie uliczna latarnia, której światło wpadało przez trzy wysokie okna. Chloe mogła się zorientować, gdzie są największe meble, ale nie mogła przeczytać tytułów na grzbietach księżek. A zatem zapaliła pierwszą lampę, na jaką się natknęła, która skąpała pokój w bladym żółtawym świetle.

Podeszła do najbliższych półek, przesuwając okulary na nosie, żeby przeczytać tytuły. Wszystkie chyba miały coś wspólnego z morzem. Następnie trafiła na rozmaite atlasy. Dalej stały biografie, przede wszystkim wyzyskiwaczy, autokratów i polityków.

Przeszła do drugiej części pokoju i znów zaczęła przeglądać półki. Wreszcie, bliżej środka, natknęła się na powieści. Ku swemu zdumieniu znalazła książki historyczne Anyi Seton, którą uwielbiała jej babka. Wyciągnęła jedną z nich, która należała do ulubionych powieści Mémée, otworzyła ją na pierwszej stronie, przeczytała kilka linijek i historia natychmiast ją wciągnęła. Do tego stopnia, że gdy się odwróciła, nie patrzyła, gdzie idzie, więc przez nieuwagę przewróciła stojącą lampę.

Lampa upadła na marmurową podłogę z hukiem, który w nocnej ciszy wydawał się ogłuszający. Szybko ją postawiła, włożyła abażur i stwierdziła z radością, że lampa nie ucierpiała. Na wszelki wypadek włączyła ją, by sprawdzić żarówkę, a potem wyłączyła. Pokój – i cały dom – znów pogrążył się w ciszy.

Otworzyła książkę i wróciła do lektury, wolnym krokiem przemierzając bibliotekę, aż dotarła do lampy, którą zapaliła po wej-

ściu. Stała tam i wciąż czytała, a potem zgasiła światło, zamknęła książkę i ruszyła do szerokich drzwi biblioteki, a ponieważ jeszcze nie przywykła do ciemności, musiała zwolnić.

W chwili gdy dotarła do drzwi i weszła do sąsiadującego z biblioteką gabinetu, ktoś nagle chwycił ją od tyłu i przyciągnął do siebie z całej siły.

Krzyknęła co sił w płucach, uderzyła napastnika łokciem w brzuch i nadepnęła mu na nogę tak mocno, jak była w stanie. Gdy w odpowiedzi rozluźnił uścisk, tak gwałtownie mu się wyrwała, że jej okulary spadły na podłogę. Co prawda ledwie to zauważyła, ponieważ całą uwagę skupiła na tym, by książką w twardej oprawie zdzielić napastnika w twarz. Sądząc z przekleństwa, jakie wykrzyknął w odpowiedzi, była dość skuteczna.

Już miała otworzyć usta i znów krzyknąć, po czym pognać na schody, kiedy napastnik zawołał:

- Chloe! Przepraszam! Nie wiedziałem, że to pani.

Natychmiast zamknęła usta. Hogan. Oczywiście, że Hogan. No bo skąd by się tam wziął ktoś inny? Dom, o czym przekonała się pierwszego dnia pracy, miał więcej zabezpieczeń niż Fort Knox. Oboje z Hoganem chyba o tym zapomnieli. Serce jej waliło, cała się trzęsła.

- Myślałem, że to włamywacz - rzekł.

On też wydawał się roztrzęsiony - słyszała jego ciężki oddech. Ale chyba lepiej dawał sobie radę w ciemności, bo bez trudu przeszedł przez gabinet i zapalił lampę na biurku, która zalała pokój tym samym miękkim złotym światłem, którym cieszyła się chwilę wcześniej w bibliotece.

Hogan stał teraz skąpany w tym świetle. Jego nocny strój niezbyt różnił się od jej piżamy. Miał na sobie spodnie od dresów i T-shirt z napisem Vinnie's House of Hubcaps. Jej T-shirt był luźny, jego podkreślał mięśnie.

W chwili gdy uprzytomniła sobie, że się na niego gapi, podniosła wzrok na jego twarz. Co wcale nie pomogło, bo włosy miał słodko skołtunione, policzki pokryte cieniem zarostu, a oczy ciemniejsze i bardziej fascynujące niż kiedykolwiek. Zalała ją fala gorąca.

Musiał tak przykuwać jej uwagę? Spotykała w życiu przystoj-

nych seksownych mężczyzn, a żadnemu nie poświęciła ani chwili uwagi. Co takiego miał w sobie Hogan, że nie mogła go zignorować?

Ścisnął w dłoni kij bejsbolowy, ale teraz trzymał go przy boku. Wolną ręką potarł miejsce na czole, które już zrobiło się czerwone – tam, gdzie uderzyła go oprawa książki.

– Tak mi przykro – powiedziała. – Ja też myślałam, że to włamawacz.

Spojrzał na swoje palce, pewnie chciał sprawdzić, czy są zakrwawione, a kiedy zobaczył, że są czyste, oparł rękę na biodrze.

– Niech pani nie przeprasza, broniła się pani. Niezły cios.

Próbowała się uśmiechnąć, ale już prawie zapomniała, jak się to robi.

– Dzięki.

– Usłyszałem huk. Myślałem, że ktoś się włamał.

– Przewróciłam lampę w bibliotece. Zeszłam poszukać sobie książki, a potem tak się zaczytałam, że nie patrzyłam pod nogi. Nie zdawałam sobie sprawy, że to był taki huk. Ten dom ma ściany jak mauzoleum.

– Nie ma sprawy – odparł. – Wszystko w porządku.

Stali tak jeszcze chwilę w milczeniu, patrząc sobie w oczy, ich oddechy już się wyrównywały.

W końcu Hogan podjął:

– Chyba muszę się napić. – Raz jeszcze na nią spojrzał i dodał:  
– Pani chyba też.

Pomyślała, że powinna odmówić.

– Nie powiem nie – powiedziała.

Kiwnął głową, oparł kij bejsbolowy o szerokie biurko, potem podszedł do szafki w przeciwległej części gabinetu i otworzył dość szczerze zaopatrzone barek.

Nie rozglądając się, bez wahania wyciągnął butelkę świetnego bourbona i kryształową szklankę – najwyraźniej spędził jakiś czas w tym pokoju – a potem odwrócił się do Chloe.

– Co pani lubi? – spytał. – To wszystko to bourbon. Kolejna rzecz, którą dziadek kolekcjonował. Gdyby pani wolała kieliszek wina, mogę zejść do piwnicy.

Ale ona już dojrzała na półce swojego faworyta i pokręciła głową.

- Napiję się Angel's Envy - powiedziała.

Uniósł brwi.

- Nigdy bym nie pomyślał, że pija pani bourbona.

- No to jesteśmy kwita. Ja też nigdy bym nie pomyślała, że pan go lubi. - Była zdziwiona, jak szybko polubił wino.

- Kiedyś nie - przyznał. - Ale kiedy rozejrzałem się w gabinecie dziadka i odkryłem ten barek, zrozumiałem, że samochody nie były jego jedyną pasją. Chciałem się przekonać, czy mamy to - wskazał na butelki - co też nas łączy. - Uśmiechnął się. - Okazuje się, że tak.

Wyjął wybraną przez nią butelkę i drugą kryształową szklanekę. Potem podał jej szklanekę, a swoją uniósł w toaście.

- Za nieistniejących włamywaczy.

Chloe uniosła szklanekę.

- Chętnie za to wypiję.

Stuknęli się, i to z entuzjazmem, ale po jednym łyku oboje zdawali się zagubieni. Chloe usiłowała się skupić na bourbonie, który rozgrzewał jej wnętrzności, ale ogień w oczach Hogana rozpraszał jej uwagę. Patrzył na nią jakoś inaczej, jakby na jej twarzy widział coś, czego przedtem tam nie było.

W końcu powiedział:

- Nie ma pani okularów. Ani szminki. Bardzo pani w nich ładnie, ale bez nich...

Dopiero teraz Chloe sobie uprzytomniła, że podczas szarpaniny straciła okulary. Właściwie potrzebowała okularów tylko do czytania, a nosiła je głównie dlatego, że stanowiły kolejny sposób na stworzenie dystansu między nią a światem.

- Zgubiłam je, kiedy... no... - Kiedy mnie przycisnąłeś do swojej twardej jak skała piersi, aż chciałam zajrzeć pod twój T-shirt, żeby ją zobaczyć.

Tak pomyślała, ale była pewna, że nie powinna wypowiadać tego na głos. Zwłaszcza że w tamtym momencie w istocie myślała o tym, by ratować życie.

Choć może te dwie myśli miały jednak z sobą coś wspólnego.

Hogan chyba zgadywał, co próbowała mu powiedzieć, ponie-

waż zerknął w stronę drzwi, wrócił tam i rozejrzał się po podłodze. Znalazł jej okulary. Podniósł też z podłogi książkę i podał Chloe obie rzeczy.

- Dzięki - powiedziała, a jednak nie włożyła okularów na nos, lecz przesunęła je na czubek głowy. Mówiła sobie, że zrobiła to tylko dlatego, że musi je wyczyścić. A nie po to, by zmniejszyć dystans między nią a Hoganem.

Hogan spojrzął na grzbiet książki.

- To ulubiona powieść Mémée - wyjaśniła. Potem, kiedy do niej dotarło, że Hogan nie ma pojęcia, o kim mówi, dodała: - Mojej babki. Anya Seton była jej ulubioną autorką. Kiedy zobaczyłam tyle jej książek w bibliotece, pomyślałam o Mémée i...

I na widok tych książek, które przypomniały jej babkę, poczuła się samotna. Często myślała o Mémée, która zmarła, kiedy Chloe była w college'u. Widok tych powieści wywołał w niej emocje, których od dawna nie zaznała. A może coś innego je wywołało. Odkąd zaczęła pracować dla Hogana, nic w jej życiu nie wydawało się normalne.

- Pomyślałam, że czytając ją, poczuję się znów, jakby Mémée była obok - ciągnęła bez przekonania. Potem, nie mogąc się powstrzymać, wyznała: - Tęsknię za nią.

Hogan skinął głową.

- Ja też straciłem bliskich, jak byłem bardzo młody. Ile miała pani lat, jak zmarła babcia?

- Dziewiętnaście.

- Czyli kiedy straciła pani rodziców, była pani jeszcze młodszą.

- Prawdę mówiąc, nie znałam rodziców - odparła bez namysłu. Dopiero potem zastanowiła się, czemu dzieli się tym z Hoganem, skoro z nikim innym o tym nie rozmawiała. Cała ta sytuacja z nieistniejącym włamywaczem wytrąciła ją z równowagi. - Ojca nigdy nie było, nie jestem pewna, czy matka wiedziała, kto nim był, a niedługo po moich narodzinach matka... zniknęła.

Ale o tym Chloe naprawdę nigdy nie rozmawiała. Prócz babki tylko jedna osoba znała jej historię. A jej też już nie ma. Co w nią wstąpiło, by mówić to Hoganowi?

Cokolwiek to było, nadal nie mogła się powstrzymać.

- Moja matka przeżywała trudności. Mémée robiła, co w jej mocy, ale osobie, która nie chce pomocy, można pomóc tylko do pewnego stopnia.

Hogan przez chwilę milczał, potem odezwał się cicho:

- Przykro mi.

Pewnie dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć. Chloe nie miała mu za złe. Sama nie była pewna, jak mówić o swoim pochodzeniu. Poza tym, że dzięki rodzicom była taka, jaka była, więc nie zamierzała niczego żałować.

- W porządku - odparła. - Mémée była cudowna. Miałam dobre dzieciństwo. Bardzo ją kochałam, a ona mnie.

Hogan zajrzał do swojej szklanki.

- Więc chyba coś nas łączy. Pytanie związane z naszymi biologicznymi matkami: co by było, gdyby z nami były?

Chloe chciała zaprzeczyć, powiedzieć, że gdyby matka była zdrowa, jej dorastanie wyglądałoby tak samo, ale potem zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, czy to prawda. I nigdy się tego nie dowie. Może byłoby lepiej, może nie. To matka by ją ukształtowała i trudno nawet spekulować, jak by to wpłynęło na Chloe. Czy odkryłaby pasję do gotowania? Czy pod skrzydłami matki znalazłaby inną pasję? Gdyby jej dzieciństwo wyglądało inaczej, mogłaby nigdy nie znaleźć się w Nowym Jorku. Nie spotkać Hogana.

- Może - odparła w końcu. - Ale każdego dnia naszego życia zdarza się coś, co nas zmienia, wiele z tych zdarzeń jest od nas niezależnych. Nawet wybór miejsca, gdzie przejdziemy na drugą stronę ulicy, może mieć katastrofalne skutki, jeśli potrąci nas autobus.

Uśmiechnął się.

- Myślałem raczej o jakości, wartości naszego życia.

- Uważa pan, że życie w Queens było pozbawione wartości?

- Przeciwnie, miało wielką wartość. Zaczynam raczej odnosić wrażenie, że dorastanie z Amherstami postawiłoby mnie w niekorzystnej sytuacji.

Jego odpowiedź ją zdumiała.

- Dorastanie w wartym miliony dolarów domu z nieograniczoną sumą pieniędzy do dyspozycji postawiłoby pana w nieko-



rzystnej sytuacji?

Kiwnął głową.

- Jasne. Gdyby nikt mnie tu nie kochał.

Powiedział to tak rzeczowo, aż serce ją zabolalo. Jakby to było pewne, że w tym świecie nadmiaru brakowało miłości.

- Uważa pan, że matka by pana nie kochała?

Westchnął i usiadł w jednym ze skórzanych foteli. Chloe usadowiła się w fotelu obok. Nie była pewna dlaczego - naprawdę powinna wrócić do pokoju i położyć się spać - ale coś nie pozwoliło jej go zostawić.

- Nie wiem - odrzekł. - Była bardzo młoda, kiedy mnie urodziła. Mogła widzieć we mnie przeszkodę, która nie pozwalała jej żyć tak jak jej rówieśnicy. Mogłaby zacząć mnie nienawidzić, mieć do mnie żal. Dziadek na pewno by się mną nie przejmował. Jego list do mnie - wziął głęboki oddech - nie był najcieplejszy. Nie był też przykry, ale było jasne, że zostawia mi majątek wyłącznie dlatego, że więzy krwi uważa za najważniejsze.

Spojrzał na coś nad drzwiami. Chloe powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyła wiszącą tam bogato zdobioną tarczę herbową.

- Herb Amherstów - powiedział. - Wiszą niemal we wszystkich pomieszczeniach. Zauważyła pani?

Prawdę mówiąc, nie. Ale Chloe nie była najbardziej uważną osobą na świecie.

- Nie - odparła. - Przypuszczam, że jeśli jest ich tak wiele, to rodowód naprawdę dużo dla niego znaczył.

- W liście prosił nawet, żebym rozważył zmianę nazwiska na Amherst, żeby nie zniknęło wraz z jego śmiercią. Chyba zawsze uważał, że Susan o mnie zapomni, wyjdzie za mąż i urodzi dzieci, którym będzie mogła nadać podwójne nazwisko, a które on z dumą nazwie swoimi sukcesorami. Zamiast jakiegoś brudnego od smaru gagatka, którego kołnierzyk śmierdzi potem.

- Jestem przekonana, że Susan nigdy o panu nie zapomniała - rzekła Chloe. - I jestem pewna, że pana kochała. W pewien sposób był pan jej pierwszą miłością. Nikt nie zapomina ani nie przestaje kochać swojej pierwszej miłości.

Spojrzał na nią z uwagą.

- Zabrzmiało to, jakby mówiła pani z doświadczenia.

Nie skomentowała tego. Już i tak za dużo powiedziała. Ale jej odpowiedź musiała być widoczna na twarzy, ponieważ Hogan uśmiechnął się melancholijnie.

- Więc w pani przeszłości jest jakiś mężczyzna, za którym pani tęskni? Tak jak ja tęsknię za Anabel? I chciałaby pani go odzyskać?

Może to bourbon. Może to wina tego światła, jakby nie z tego świata. A może sposób, w jaki Hogan na nią patrzył. Cokolwiek to było, Chloe oznajmiła:

- Nigdy go nie odzyskam. Odszedł.

Uśmiech Hogana zgasł. Spojrzał jej w oczy.

- Odszedł - powtórzył. - Czyli... przeprowadził się?

Chloe pokręciła głową. To nie bourbon. Nie światło. Chodziło o Hogana i o to, jak na nią patrzył, i tylko to kazało jej wyznać:

- Samuel był moim mężem. On też był kucharzem. Mieliśmy otworzyć restaurację. Chcieliśmy mieć dzieci i je też nauczyć gotować. Mieliśmy pracować razem długo i szczęśliwie. Potem mieliśmy przejść na emeryturę grubi i szczęśliwi, mieszkając w Lyonie, a nasze prochy miały zostać rozsypane w Pirenejach. Zamiast tego jego prochy zostały rozsypane w parku narodowym Brown County, gdzie w dziewiątej klasie byliśmy na pierwszej randce.

Hogan patrzył na nią przerażony, co tylko potwierdzało przypuszczenie Chloe - popełniła największy w życiu błąd. Ścisnęła mocniej szklankę i wypła do dna. Potem wstała i ruszyła ze szklanką do barku.

Miała ją tam zostawić, tymczasem wzięła butelkę bourbona, która nadal tam stała, i wyszła z pokoju z butelką i szklanką. Wiedziała, że zanim zaśnie, minie sporo czasu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Nazajutrz rano Hogan nie spodziewał się zobaczyć Chloe. Nie dlatego, że osoba tak zdystansowana i skryta jak ona pewnie czuła się zażenowana swoimi nocnymi wyznaniem, ale dlatego, że wiedział z doświadczenia, jak działa za duża ilość bourbona. Nawet dobrego.

Gdy wychodziła z gabinetu, wyglądała, jakby bardzo poważnie brała pod uwagę opróżnienie butelki.

A zatem kiedy wszedł do kuchni piątkowego ranka, by zrobić sobie śniadanie, i zastał Chloe przy pracy, przeżył prawdziwe zaskoczenie. Miała na sobie jedną z obszernych bluz szefa kuchni i kolorowe spodnie ozdobione sylwetkami świń. Włosy jak zwykle zebrała na czubku głowy. Okulary były znów na miejscu, wargi idealnie pomalowane czerwoną szminką.

Mimo zmęczenia, niewyspania, alkoholu i opłakiwania mężczyzny, którego kochałaby do końca życia, gdyby nie zmarł zbyt szybko, nie wyglądała najgorzej.

Hogan wciąż nie mógł uwierzyć, że w wieku dwudziestu ośmiu lat Chloe była wdową. I to od dwudziestego trzeciego roku życia albo wcześniej, zważywszy na to, że przez ostatnie pięć lat pracowała w Nowym Jorku. Jej wyznanie minionej nocy wyjaśniało, czemu była taka chłodna i powściągliwa. I poważna do przesady. Gdyby przeżył to co ona, na przykład poślubił Anabel, a potem stracił ją tak młodo, waliłby pięścią przy każdej okazji. I na całym świecie nie byłoby dość bourbona, by go znieczulić.

Co prawda Chloe nie była stale chłodna i zdystansowana. Zdarzały się chwile, kiedy jej maska pękała na tyle, by zobaczyć, co się pod nią kryje. Tamtego dnia w galerii, gdy mu powiedziała, że jego zagubienie związane z jego miejscem w świecie jest uprawnione. Albo kiedy udali się na degustację win i usłyszał ten cichy zmysłowy dźwięk. Czy minionej nocy, kiedy walczyła

jak lew z rzekomym napastnikiem.

Chloe Merlin była wrażliwą, pełną zapału i namiętą osobą, ilekroć przestawała się tak strasznie kontrolować. Choć teraz, gdy więcej o niej wiedział, rozumiał jej potrzebę kontroli. Pragnął tylko, by w jego obecności nie czuła konieczności ciągłego kontrolowania się.

- Dzień dobry - odezwał się, idąc w stronę ekspresu do kawy.

Słyszając jego głos, omal nie podskoczyła, odwróciła się, ale jej mina pozostała nieczytelna.

- Śniadanie będzie gotowe za dziesięć minut - oznajmiła.

- Świetnie. Ale po ostatniej nocy nie musi...

- Śniadanie będzie gotowe za dziesięć minut - powtórzyła tym samym tonem.

- Ale...

- Śniadanie będzie gotowe za dziesięć minut - powiedziała stanowczo. Potem, by sprawa była jasna, dodała: - Proszę usiąść w jadalni, przyniosę panu śniadanie.

Okej, więc będą udawali, że minionej nocy nic się wydarzyło. Że nic mu nie powiedziała i że nie widział jej takiej bezbronnej.

Może to i dobrze. W końcu każde z nich ma swoje życie, a ich ścieżki nie muszą się krzyżować poza posiłkami czy przypadkowymi spotkaniami.

Takimi jak minionej nocy.

Domyślał się, że to się nie liczyło, w każdym razie dla Chloe. Z jakiegoś powodu jednak nie chciał zapomnieć tego, co się stało. Nie chciał zapomnieć jej słów. Nie chciał zapomnieć, jak wyglądała. I nie chciał wracać do ich wcześniejszych ról i zwyczajów.

Chloe przeciwnie. To było oczywiste. Więc nie mówiąc nic więcej, nalał sobie filiżankę kawy, ignorując jej zmarszczkę na czole, bo według niej to było jej zadanie, a potem poszedł do jadalni czekać na śniadanie.

Ale kiedy usiadł przy stole, tak jak siadał od paru tygodni każdego ranka, nie czuł się dobrze. Może zgodnie z testamentem to miejsce było jego domem, ale jego życie tu nie miało żadnego celu. Może jadał lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, ale nie lubił jeść sam i wciąż o tej samej porze.

Do diabła, przedtem przynajmniej drużyny Metsów i Knicków dotrzymywały mu towarzystwa.

Nie podobało mu się, że ktoś przygotowuje i podaje mu śniadanie. Nawet jeżeli zatrudnienie w tym celu Chloe było najlepszym sposobem na to, by Anabel wróciła do jego życia. Właśnie na tym powinien się skupić, na Anabel. Na tym, jak ją zatrzymać w tym domu dłużej niż kilka minut, które spędziła tu poprzednim razem.

Do tego czasu musi się pogodzić z posiłkami przygotowywanymi przez Chloe, zamiast samemu robić sobie śniadanie, tak jak to robił chyba od przedszkola, kiedy więcej mleka wylewał z miski płatków niż do niej wlewał. Później w drodze do pracy kupował pączka w Alpha Donuts. To było śniadanie dla normalnych ludzi. Śniadanie nie jest...

Chloe postawiła przed nim talerz. Obok dwóch plastrów melona na czymś, co chyba było botwinką, znajdował się klinek czegoś posmarowanego czymś... Och, do diabła. Był zbyt zmęczony, żeby identyfikować te wszystkie warstwy.

- Co to jest? - zapytał.

- *Tartiflette avec les lardons, le reblochon et les truffes noires.*

- To znaczy?

- Zapiekanka ziemniaczana z bekonem, serem i grzybami.

Hogan westchnął. Śniadanie to nie jest tarti-coś tam. To nie jest nawet ziemniaczana zapiekanka z bekonem, serem i grzybami. Chciał powiedzieć Chloe, że zje śniadanie w mieście. Mógłby pojechać metrem do Queens, wpaść do Alpha Donuts, i kupić trzynaście pączków. A kiedy już będzie w okolicy, mógłby zajrzeć do garażu i do swojego starego mieszkania po parę rzeczy, których nie wziął, bo wydawało mu się, że tu nie będą mu potrzebne.

Potem mógłby zjeść lunch w Taco Taberna po drugiej stronie ulicy, zanim wróci do domu... Zanim wróci do Lenox Hill.

Zerknął na Chloe. Z bliska nie wyglądała na tak opanowaną, jak mu się w pierwszej chwili wydawało. Dojrzał sińce pod zaczerwienionymi oczami i rozmazaną szminkę w kącie warg. Nie wspominając o jej minie, która mówiła jednocześnie: „Je-

stem najbardziej wściekłym człowiekiem na świecie” i „Ledwie się trzymam”. Wstała wcześniej, choć pewnie czuła się fatalnie. Ubrała się i zeszła do kuchni, choć pewnie nie czuła się komfortowo, stając z nim twarzą w twarz.

Byłby największym głupkiem w Nowym Jorku, gdyby teraz wyszedł.

- Wygląda bardzo apetycznie - powiedział. - Dziękuję.

Spojrzała na niego zdumiona, choć dziękował jej za każdym razem, kiedy podawała mu jedzenie. Ale odpowiedziała tak jak zawsze:

- Nie ma za co.

Potem zakręciła się na pięcie i ruszyła do kuchni.

A Hogan odwrócił się, by odprowadzić ją wzrokiem. Często tak robił. Zwykle szła do swojego azylu pewnym krokiem, z wysoko uniesioną głową. Tego ranka poruszała się ospale, z opuszczoną głową. W pewnym momencie uniosła nawet rękę do twarzy, a on był prawie pewny, że przetarła oczy.

Przeniósł wzrok na talerz. Nawet jeśli nie było to coś, co zwykle jadał, było to dzieło sztuki. Jak wszystko, co gotowała. Prawdę mówiąc, jak wszystko, co gotowała, było to niemal zbyt oryginalne, by to zjeść.

Nagle zaczął się zastanawiać, co takiego jadają szefowie kuchni. Czy w przygotowanie śniadania dla siebie Chloe też wkłada tyle wysiłku? Czy teraz w kuchni wpycha do ust Pop-Tart, gotowe słodkie tosty? Czy na lunch zjada kawałek odgrzanej pizzy? A na deser gotowe ciasto Sary Lee? Hogan bardzo lubił to ciasto.

A kiedy Chloe jada kolację? Zanim przygotowuje dla niego kolację czy później? Czy od razu szykuje dwie porcje? Jedną dla niego, a drugą dla siebie? Czy czekając, aż on zje swoją kolację, zjada kanapkę z szynką i serem? Prawdziwą szynką i serem. Nie żadną francuską.

Wciąż nad tym dumiał, kiedy wziął do ręki widelec i wbił go w ziemniaki. Zastanawiał się też nad czymś innym: jak przekonać swą kucharkę, że życie to coś więcej niż plan dnia i wymyślne zapiekanki z ziemniaków.

Kiedy wyszła na zakupy w piątkowe popołudnie, czuła się już prawie normalnie. Pomogła jej przedpołudniowa drzemka, którą ucięła sobie przypadkowo w piwniczce z winem Hogana, kiedy się położyła, by obejrzeć butelki na najniższej półce. Jeszcze bardziej pomogło jej to, że Hogan zgodził się udawać, iż minionego wieczoru nic się nie wydarzyło.

A najbardziej pomocne były zapachy, widoki i dźwięki targu, dokąd się udała w poszukiwaniu sezonowych warzyw i owoców. Tego dnia potrzebowała szalotki do *confit de canard*, którą przyrządzi na kolację. A do tego brukselki i listków młodej sałaty, a także gruszek do *clafoutis*, które planowała na deser.

Nie spieszyła się, zatrzymywała się przy każdym stoisku, gdzie wypatrzyła smacznie wyglądający produkt, by pomyśleć, co mogłaby z niego przyrządzić. O tej porze roku jabłka tak pięknie pachną.

Znalazła też sprzedawcę syropu klonowego. Musi go kupić. Och, i koper włoski. Od dawna nie robiła niczego z koprem włoskim. Koper włoski jest pyszny w chłodniku z pora. Musi go kupić. A to już pewnie ostatnie tegoroczne pomidory. Powinna wybrać kilka i do czegoś je wykorzystać. Może do *tartine*.

Wróciła z targu z dwiema płóciennymi torbami pełnymi warzyw, owoców i innych produktów. Było tego więcej niż dość na piątek i sobotę. Hoganowi zostanie coś na niedzielę, gdyby miał ochotę sam sobie coś przygotować, kiedy ona będzie zajęta. Poza jego domem.

Czymś, co zajmie jej myśli, żeby nie myślała o Hoganie. O tym, jak na nią patrzył, kiedy mu powiedziała o Samuelu. No i żeby nie myślała o Samuelu. Ani o niczym innym poza jedzeniem i metodycznym przygotowywaniem jedzenia.

Nie mogła się doczekać, kiedy zabierze się za kolację.

Wszystko wypakowała i schowała poza tym, co zamierzała wykorzystać tego wieczoru. Już miała iść do swojego pokoju, by zamienić spodnie khaki i za dużą bluzę w kolorze owoców granatu na swój strój roboczy, kiedy do kuchni wszedł Hogan z dwiema białymi torbami z czerwonym logo spożywczego sklepu sieciowego.

- Dziś ja gotuję - rzekł bez zbędnych wstępów, gdy tylko ją

zobaczył. Zanim się sprzeciwiła, dodał: – Byłem dzisiaj w mojej dawnej okolicy, żeby wpaść do mieszkania i zajrzałem do marketu, gdzie robiłem zakupy...

– Czemu musiał pan pojechać tam do sklepu?

Nie chciała być nieuprzejma. Była po prostu zdziwiona i zdeenerwowana jego kolejną niespodziewaną obecnością w kuchni. Nie wiedziała, co powiedzieć. I tylko to mogło tłumaczyć, że jej słowa brzmiały nieuprzejmie, a nawet dało się w nich słyszeć cień zazdrości.

Hogan musiał usłyszeć jej oskarżycielski ton, ponieważ nagle wydawał się skruszony. Powiedział jednak:

– Potrzebowałem kilku rzeczy.

– Jakich rzeczy?

Poczuł się jeszcze bardziej winny.

– No... rzeczy. Wie pani. Osobistych rzeczy. Które muszę mieć.

– I musiał pan jechać po to do Queens? Czy na Manhattanie nie ma tych rzeczy, których pan potrzebuje?

Czy nie mogłaby po prostu zamilknąć? – pomyślała Chloe. Mówi jak podejrzliwa żona. Dokąd pojechał, co kupił, czemu tam pojechał, to nie jej interes. Na Boga, Chloe, zamknij się.

– Jasne, mogłem je tu dostać – odparł – ale sklep C-Town jest kawałek za warsztatem i po drodze do metra, więc tam poszedłem. Po parę rzeczy. A jak już tam byłem, kupiłem coś na kolację. Pomyślałem, że dam pani odpocząć.

Odpocząć? – powtórzyła w myślach z niedowierzaniem. Nie pracowała dla niego jeszcze miesiąc, a on już ma dość jej kuchni? Nikt nie miał dość jej kuchni. Gotuje najlepiej w Nowym Jorku.

– Ja zajmuję się kolacją – przypomniała mu. – Za to mi pan płaci. Nie potrzebuję odpoczynku.

– Wiem, ale pomyślałem...

– Czy nie spełniam pana standardów?

Teraz sprawiał wrażenie zdumionego.

– Co? Oczywiście, że pani spełnia. Ja tylko...

– Czy moje dania są zadowalające?

– Tak, Chloe, wszystko, co pani gotuje jest świetne, ale...

– To czemu nagle chce pan sam gotować?



I czemu ona wciąż gada jak zazdrosna żona? Jakby nie dość, że wypytuje go o rzeczy, które nie powinny jej interesować. Tylko pogorszyła sytuację, mówiąc takim tonem, jakby uważała, że ma do tego prawo. Nawet gdyby poczuła dziwne pragnienie zostania żoną Hogana – od czego była rzecz jasna daleka – to on widzi w tej roli Anabel Carlisle.

Ona, Chloe, jest jego osobistym szefem kuchni. Więc czemu nie zachowuje się profesjonalnie?

Hogan nie wydawał się urażony jej wybuchem. Wyglądało nawet na to, że nagle mu użyło.

– Nie, Chloe, nie rozumie pani. Nie będę gotował tylko dla siebie. Będę gotował dla nas.

Okej, teraz była już kompletnie skonsternowana. Zanim cokolwiek wydukała, Hogan opróżnił torby na kuchennej wyspie. Pół kilo karkówki, kilka białych cebul, opakowanie tartego sera o nazwie „Mieszanka meksykańska”, opakowanie kukurydzianych czipsów i słoik salsy – obie te rzeczy własnej marki sieci sklepów. A także przyprawę taco masowej produkcji, butelkę sosu taco masowej produkcji i sześć białych jaj z trójką.

Chloe połączyła te składniki w myślach i zbladła, uświadamiając sobie, co jej z tego wyszło.

– O mój Boże. Chce pan zrobić pieczoną karkówkę z taco, tak?

Promieniał, wyjmując spaloną formę do pieczenia.

– No – odrzekł z dumą. – W świętej formie Dempseyów, która jest matką wszystkich form do pieczenia. Należała do mojej matki. Jest coraz lepsza.

Mówił to, jakby wygłaszał pean.

Z drugiej torby wyjął opakowanie mrożonej marchewki (krojonej karbowanym nożem), która, jak stwierdził, będzie boska z margaryną i brązowym cukrem – a był pewien, że Chloe posiada w kuchni te dwa składniki. Następnie wyciągnął tubę ciastek z ciasta francuskiego, jak z dumą głosił napis. A potem – ku absolutnemu przerażeniu Chloe, bo to największy afront, jaki szef kuchni może sobie wyobrazić – pudełko makaronu zapiekanego z serem. Do odgrzania.

– Najlepsze jeszcze przed nami – powiedział wtedy.

Cóż, rzeczywiście nic z tego, co leżało na blacie wyspy, nie było najlepsze. A jednak przyszła pora na coś o wiele gorszego. Gotowe ciasto zapakowane w aluminiową folię, która wyglądała na dość grubą i mocną, by – gdyby było jej więcej – zbudować z niej garaż. A potem ogromną plastikową tubę czegoś, co nazywało się Fros-Tee-Whip, a co było dalej opisane jako „bezmleczna bita śmietana”. Chloe się wzdrygnęła, nie mogła się powstrzymać.

- Tak, wiem. - Hogan najwyraźniej pomylił jej niechęć z drżeniem podniecenia. - To najwspanialszy deser wymyślony przez ludzkość.

To dopiero nowina dla twórców *crème brûlée*, *crêpes Suzette* i *soufflé au chocolat*.

- Tak, wiem, że nie jest pani fanką przetworzonej żywności – dodał, kiedy zobaczył, jak Chloe patrzy na jego zakupy. - Ale ją pani pokocha. Mam dobry makaron z serem. Ma w środku rozpuszczony ser, a nie taki w proszku.

No cóż, w takim razie...

Gdy znów na niego spojrzała, jego uśmiech mówił, że ma świadomość, iż nie jest zachwycona.

- Hogan, czy zdaje pan sobie sprawę, ile sodu znajduje się w tych... tych... - spytała.

- Myślę, że szuka pani określenia: produkty spożywcze - odpowiedział.

Prawdę mówiąc, chodziło jej o inne określenie. Mimo to zgodziłaby się z pierwszą częścią: produkty. Co do drugiej dyskutowałyby. A zatem tylko powtórzyła:

- Hogan, czy zdaje pan sobie sprawę, ile sodu się w tym znajduje?

Uśmiechnął się.

- Chloe, nic mnie to nie obchodzi. Nikogo nie obchodzi, ile sodu przynosi w torbach ze sklepu spożywczego.

- Obchodzi ludzi, którzy chcą dożyć chwili, kiedy zobaczą pierwszy siwy włos na swojej głowie.

- To - wskazał na swoje zakupy - jest o wiele bliższe typowej amerykańskiej diecie niż to. - Tym razem wskazał na owoce jej wyprawy na targ, które także zostawiła na blacie. - Nie wspo-

minając o tym, że typowe amerykańskie jedzenie jest o wiele łatwiejsze do przygotowania.

- Łatwe nie znaczy jadalne. Czy smaczne.

- Jeśli chodzi o klops, jest jadalny i smaczny.

- Jeśli to - teraz Chloe wskazała na jego zakupy - chce pan jeść, to po co w ogóle mnie pan zatrudnił?

No tak, przy jej pomocy chciał zwrócić na siebie uwagę Anabel. Sam jej to zdradził, a jej nie robiło to różnicy. Pracowała dla tych, którzy najwięcej płacili. To było kryterium numer jeden przy wyborze pracodawcy. Jednak z jakiegoś powodu nagle zaczęło jej przeszkadzać, że została wykorzystana jako środek do osiągnięcia celu. Zwłaszcza takiego celu.

Odpowiedź Hogana nie miała jednak nic wspólnego z Anabel. Prawdę mówiąc, wcale jej nie odpowiedział.

- Proszę pozwolić mi dzisiaj gotować - przyznał się. - Jadła pani kiedyś takiego klopsa?

Posłała mu spojrzenie w rodzaju: A jak pan myśli? I milczała.

- No to skąd pani wie, że pani tego nie lubi?

- Dwa słowa. Butylowany hydroksyanizol.

- Na zdrowie. - Znów się uśmiechnął.

Przekłęty uśmiech. Ilekroć się uśmiechał, Chloe czuła w piersi jakieś ciepło. Teraz nawet rozeszło się po całym ciele, w takie miejsca, gdzie nie powinna czuć ciepła w towarzystwie.

- Gwarantuję, że będzie pani smakowało. Jeśli nie, obiecuję, że już nigdy nie wejdę do pani kuchni.

Zaczęła mu przypominać, że pomieszczenie, w którym się znajdowali, to jego kuchnia, ale się zawahała. Z jakiegoś powodu czuła się tu trochę jak u siebie. Zdecydowanie bardziej niż w jakiegokolwiek innej kuchni, gdzie dotąd pracowała. Mówiła sobie, że to dlatego, że była mniej sterylna, z kaflami w kolorze francuskiej riwiery i kremowymi emaliowanymi sprzętami, z lśniąco miedzianymi garnkami, które zwisały z sufitu jak amarantus, z ogromnymi oknami, przez które jednego ranka wlewało się więcej słońca, niż widywała gdzie indziej przez całe miesiące.

Pokochała tę kuchnię od pierwszego wejrzenia. A w kolejnych tygodniach czuła, że nigdy nie chciałaby jej opuścić.

Chociaż, jeśli ma być szczerą, bywały dni, kiedy nie była taka pewna, czy chodzi wyłącznie o kuchnię.

- Dobrze - zgodziła się niechętnie. - Może pan dzisiaj ugotować kolację.

- Dla nas - dodał.

Nie była pewna, czemu oczekiwał od niej tego ustępstwa ani czy to dobry pomysł, mimo to powtórzyła:

- Dla nas.

Kiedy Hogan wpadł na genialny pomysł, by przyrządzić dla Chloe kolację, zależało mu na tym, żeby to było coś, co przypomni mu smak domu - jego prawdziwego domu. Leżał pod podwoziem dodge'a chargera, którego chciał kupić Eddie Deflorio, by sprawdzić, czy sprzedawca samochodu nie chce go oszukać, kiedy Eddie powiedział coś o klopsie mamy Hogana. I nagle Hogan zatęsknił za tym klopsiem. Nie tylko za nim, ale też za marchewką, ciastkami i makaronem z serem. I - co oczywiste - za ciastem Sary Lee na deser.

W warsztacie poczuł się znów u siebie, otoczony przez znajome dźwięki, zapachy i ludzi, którzy mówili o znajomych rzeczach - nie wspominając już o tym, że miał tam zajęcie. Poczował się tak dobrze, że nie chciał, by ten dzień się skończył. Pragnął dalej coś robić, nawet gdyby to było przygotowanie pieczeni.

Bo jeśli miał ją przyrządzić, musiał wpaść do starego mieszkania po starą formę mamy. A kiedy już znalazł się w swoim starym mieszkaniu...

Od tygodni nie czuł się tak dobrze. Jak w domu. Bo był w domu. Wtedy zdał sobie sprawę, że chciał podzielić się z kimś tym uczuciem. Pierwszą osobą, która wpadła mu do głowy, była Chloe. Minionego wieczoru czymś się z nim podzieliła, choć najwyraźniej tego żałowała. Teraz on chciał się z nią czymś podzielić, by nie czuła, że musi ukrywać swoje emocje.

Czy istniał lepszy sposób na podzielenie się z nią atmosferą jego domu niż przeniesienie smaków Queens do kuchni w Lenox Hill?

Na szczęście Chloe została w kuchni, kiedy przygotowywał mięso, więc mogła mu podpowiedzieć, gdzie czego szukać.

Większość czasu siedziała na wysokim stołku, sącząc czerwone wino i rzucając takimi słowami jak glutaminian sodu, galusan propylu i bromian potasu. Ale nalała mu też kieliszek wina i włączyła jakąś przyzwoitą muzykę, choć nie rozumiał słowa z tego, co śpiewano.

Udało mu się połączyć wszystkie składniki w całkiem zgrabny klops, choć z jednego końca nieco szerszy, i był gotowy włożyć formę do piekarnika, gdy sobie uświadomił, że zapomniał go włączyć i nagrzać. Niestety nie miał pojęcia, jak uruchomić przeklęty piekarnik, ponieważ był trzy razy większy od normalnego i miał jakiś milion gałek i przycisków.

- Jak się to włącza? - zapytał.

Chloe wreszcie skończyła swój akt oskarżenia wobec przetworzonej żywności i czytała książkę o kimś, kto nazywał się Auguste Escoffier - po francusku. Słyszając jego pytanie, podniosła wzrok i przez chwilę patrzyła na Hogana znad okularów. Potem je poprawiła grzbietem dłoni, odłożyła książkę na blat, wstała i podeszła do piekarnika.

- Jaką temperaturę pan potrzebuje?

- Sto osiemdziesiąt - odparł.

Przekręciła jedną z gałek, a piec cicho zasyczał.

- Dajmy mu minutę.

Spojrzała na mięso, które stało w formie na kuchennej wyspie w otoczeniu kawałków cebuli i sera, rozlanej salsy i rozsypanej przyprawy. Była też mała kałuża wina, powstała na skutek wypadku, kiedy Hogan wpadł na szalony pomysł, by dolać go do mięsa, bo pomyślał, że dzięki temu danie będzie lepiej smakowało Chloe.

Na szczęście odzyskał rozum, nim to zrobił. Przede wszystkim nie chciał, by matka przewróciła się w grobie, a poza tym nie był pewien, czy jest już gotowy do improwizowania w kuchni.

Chloe zdjęła okulary i spojrzała mu prosto w oczy.

- *Ce travail, c'est pas de la tarte, n'est-ce pas?*

Nie miał pojęcia, co powiedziała, ale sądząc z jej miny, wyraziła mu współczucie. Był też niemal pewien, że podnieciło go to, iż Chloe mówiła po francusku. I był również przekonany, że erekcja nie jest dobrym pomysłem, kiedy klops nie trafił jeszcze

do pieca.

- No... - zaczął elokwentnie.

Chloe cicho westchnęła i położyła okulary na blacie, potem posłała mu jeden z tych swoich prawie-uśmiechów, który widział już raz czy dwa. I który mu się podobał. I to bardzo.

- Gotowanie nie jest dla ludzi bojaźliwych - przetłumaczyła. - Jest trudniejsze, niż się ludziom wydaje.

Tak, a on użył tylko pięciu składników, większość z pudełek i torebek. Nie wyobrażał sobie nawet, ile wysiłku kosztowało Chloe przygotowanie każdego dania.

- Dziękuję za pomoc - odparł.

- Nic nie zrobiłam.

- Powiedziała mi pani, gdzie są nożyczki.

Omal się nie uśmiechnęła.

- I naląła mi pani kieliszek wina. To było jeszcze ważniejsze.

- Choć tyle mogłam zrobić.

- Jeszcze raz dziękuję.

Stali, patrząc na siebie przez kolejną minutę. Hogan próbował nie dostrzegać urody jej zielonych oczu ani tego, że włosy miała takie jedwabiste. Nie powinien zwracać uwagi na takie rzeczy u swojego szefa kuchni. Takie rzeczy powinien widzieć u Anabel. Takie rzeczy bez wątpienia zauważy u Anabel, kiedy znów będą razem. Gdy tylko do niej zadzwoni i zaprosi ją na przykład do... Musi coś wymyślić. I to szybko.

- Piekarnik jest gotowy - oznajmiła Chloe.

Piekarnik? Ach, prawda. Pewnie dlatego zrobiło mu się gorąco.

- Jest tam jakiś dzwonek czy coś, co da nam znać, kiedy czas minie? - spytał.

Pokręciła głową. I wciąż na niego patrzyła z takim napięciem, jak on patrzył na nią.

- W takim piekarniku nie ma.

- To skąd pani wie, że coś jest gotowe?

- Po prostu wiem.

Oczywiście.

- Więc chyba powinienem włożyć klops do środka - powiedział bez cienia erotycznej sugestii.

- Chyba tak.

Hogan kiwnął głową. Chloe kiwnęła głową. Żadne z nich się nie ruszyło. W końcu Chloe przejęła inicjatywę i sięgnęła po formę. Otworzyła piekarnik i włożyła do niego mięso. Naprawdę głęboko. Tak głęboko, jak tylko się dało. Hogan starał się nie patrzeć.

- Już - powiedziała, prostując się, kiedy zamknęła piekarnik. - Jak długo ma tam być?

Och, bardzo długo, chciał powiedzieć. Wiele godzin. Może całą noc. Powiedział jednak:

- Godzina powinna wystarczyć.

Chloe skinęła głową. Hogan skinął głową. I zastanowił się, jak do diabła mógł pomyśleć, że gotowanie kolacji z Chloe w nagrzanym piekarniku z jeszcze bardziej rozgrzanym piekarnikiem to dobry pomysł.

- Powinienem posprzątać - stwierdził, bo zrobił taki bałagan, że nie było na świecie dość sprzątaczek, by się z tym uporać.

Powinien przede wszystkim skupić się na odzyskaniu Anabel. Ostatnio prawie o niej nie myślał, bo miał głowę nabitą Chloe.

Kobietą, która zbyt młodo straciła mężczyznę, któremu oddała życie. I która wciąż go opłakiwała. I która pewnie nigdy nie zechce innego.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Więc? I jak?

Chloe spojrzała na Hogana. Siedziała po jego prawej stronie przy ogromnym stole w jadalni. Promieniał jak dzieciak, który chwali się samodzielnie złowioną rybą.

- Smakuje pani, prawda? - pytał. - Widzę, że smakuje, bo talerz ma pani pusty. Witamy w klubie czystych talerzy, Chloe.

- Było... do przyjęcia - przyznała niechętnie.

Zaśmiał się.

- Do przyjęcia. Okej. Wzięła pani dokładkę, a na talerzu nic nie zostało.

- Chciałam tylko poczuć kombinację smaków.

- A kombinacja smaków była naprawdę dobra, prawda?

W porządku. Klops posiadał pewne *je ne sais quoi*, które było zadziwiająco pociągające. Podobnie marchewka. Nawet ciastka. Chloe nigdy nie jadła nic podobnego. Mémée nie pozwalała w domu na nic mrożonego ani przetworzonego. Miała małą szklarnię i ogród warzywny, a to, czego sama nie wyhodowała, kupowała podczas cotygodniowych wizyt na targu, gdzie udawała się z Chloe.

W najzimniejszych miesiącach robiła zakupy w supermarkecie - ale tylko z żywnością ekologiczną.

Chloe nigdy nie czuła potrzeby ulegania pokusie przetworzonej żywności, nawet jeśli było to wygodniejsze. Lubiła przygotowywać posiłki. Lubiła kupować świeże składniki. Myśl o kupnie żywności w pudełkach, słoikach czy puszkach była jej tak obca jak posiadanie sześciu kończyn. Nie była snobką, chodziło o...

Okej, w pewnym stopniu była snobką, jeśli chodzi o jedzenie i gotowanie.

- Wie pan co - zwróciła się do Hogana. - Mogę panu przygotować przyprawę taco do wykorzystania następnym razem. Będzie miała o wiele mniej sodu.



- Super. Dzięki. - Uśmiechnął się.
- Salsę też łatwo się robi. Mogę zrobić świeżą salsę, kiedy będzie pan znów gotował.
- Bardzo proszę.
- Nawet ciastka można...
- Tu muszę zaprotestować - wtrącił. - Przepraszam, ale ciastka muszą być te. Mama zawsze je kupowała. To tradycja.

I smak dzieciństwa. Chloe to rozumiała. To samo czuła, jeśli chodzi o *gratin dauphinois*.

- Okej - poddała się. - Ale może następnym razem świeże marchewki zamiast mrożonych?

Zastanowił się przez chwilę.

- Dobrze. To znaczy, już i tak wprowadziliśmy zmianę, bo to, co pani nazywa brązowym cukrem, jest w istocie beżowym cukrem. I nie miała pani margaryny. Kto nie ma w kuchni margaryny?

Wcześniej Chloe odpowiedziałaby na to stanowczą ripostą o heksanie i wolnych rodnikach. Teraz odparła:

- Masło jest dla pana lepsze.

Nie dodała: Musi pan być zdrowy. Ponieważ po tym zdaniu powiedziałaaby jeszcze: Chcę, żeby pan był zdrowy.

Wolała się w to nie zagłębiać. W końcu to normalne, bo przecież nikomu nie życzyłaby choroby. Wszyscy zasługują na długie szczęśliwe życie. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy lepiej niż Chloe, która widziała, jak życie stracił jeden z najlepszych i najprzystojniejszych ludzi. Nie chciała, by coś podobnego przytrafiło się Hoganowi. Zresztą wyglądał tak krzepko jak robotnik portowy. Ale Samuel też wyglądał na zdrowego w dniu, kiedy wyszedł do pracy i już z niej nie wrócił.

Odsunęła tę myśl i wstała.

- Skoro pan gotował, ja posprzątam. Tak będzie sprawiedliwie.

Wyglądał na zaskoczonego, ale także wstał.

- Pomagała mi pani w gotowaniu, więc ja pomogę posprzątać.

Zaczęła oponować, ale już wziął talerz i położył na nim sztucce. Chloe ruszyła za nim do kuchni. Razem załadowali zmywarkę. Razem spakowali resztki do pojemników. Razem schowali je

do lodówki.

I razem postanowili otworzyć drugą butelkę wina.

Ale to Hogan zasugerował, by wyszli z nią do ogrodu na dachu. Choć wspomniał jej o tym ogrodzie pierwszego dnia pracy i mogła z niego korzystać do woli, zwłaszcza że on tego nie robił, jeszcze tam nie była.

Wolała zostać w swoim pokoju, kiedy nie pracowała. Poza tą jedną pamiętną wycieczką do biblioteki. Jednak gdy wyszli na dach, pomyślała, że może powinna zmienić zdanie. Nowy Jork w nocy był piękny.

Podłoga na dachu była drewniana. Przestrzeń oświetlały małe białe lampki wplecione w treliaz. Wzdłuż balustrady stały terakotowe donice z astrami, kameliami i chryzantemami. Dalej Manhattan połyskiwał jak szlachetne kamienie na tle nocnego nieba.

Wiedząc, że wieczór jest chłodny, po drodze wzięła czarny wełniany szal, który należał do jej babki, haftowany w małe czerwone kwiaty.

Szczelnie się nim otuliła, siadając na miękkiej kanapie przy ceglanymprepieniu, postawiła kieliszek na stoliku obok. Hogan usiadł przy niej. Przez długą chwilę milczeli. Patrzyli na skrzający się miejski pejzaż.

W końcu Chloe przerwała ciszę.

- Wciąż trudno mi uwierzyć, że mieszkam w Nowym Jorku. Zakochałam się w tym mieście, jak byłam dzieckiem, czytałam o nim i widziałam tyle filmów, które tu kręcono. Nigdy jednak nie wyobrażałam sobie, że tu zamieszkam. Zwłaszcza w tej części miasta.

- Ja dorastałem w Nowym Jorku - odparł - ale ta część miasta jest dla mnie tak obca jak szczyty Himalajów. Ja też wciąż nie wierzę, że tu jestem. W dzieciństwie nigdy nie przyjeżdżałem na Manhattan. Nie czułem takiej potrzeby.

- To jak pan poznał Anabel? - spytała. - Ona sprawia wrażenie, jakby nigdy nie opuszczała Piątej Alei.

Uśmiechnął się tym swoim seksownym uśmiechem. Tego wieczoru często to robił. A ilekroć to robił, Chloe czuła, jak jej skrupa powolutku pęka i kawałek z niej odpada. W całym domu

Hogana leżało pewnie mnóstwo takich kawałków, znacząc miejsca, gdzie po latach obiecywania sobie, że już nigdy niczego nie poczuje, dzięki Hoganowi coś się w niej budziło. Coś, przez co można wpaść w nie lada kłopoty.

- To zabawna historia - zaczął Hogan. - Anabel z przyjaciółmi wybrała się na koncert na Shea Stadium. Tak zdenerwowali taksówkarza, który ich wioził, że zatrzymał samochód na środku ulicy, przed warsztatem mojego ojca, i kazał im wysiąść. Anabel i taksówkarz zaczęli się przekrzykiwać, a my wyszliśmy zobaczyć, co się dzieje. - Zaśmiał się. - Pamiętam, jak tam stała i przeklinała jak marynarz, mówiąc taksówkarzowi, że osobiście zna burmistrza i dopilnuje, żeby ten gość nigdy więcej nie jeździł taksówką w części Nowego Jorku, New Jersey i Connecticut.

Chloe uśmiechnęła się. Nie mogła sobie wyobrazić Anabel, nawet nastoletniej, która tak się zachowuje. Jej pracodawczyni zawsze zachowywała się jak dama.

- W każdym razie taksówkarz odjechał i zostawił ich, a my biliśmy brawo i gwizdaliśmy. Anabel odwróciła się, myślałem, że dostanie nam się tak jak taksówkarzowi, ale ona na mnie spojrzała i...

Pokręcił głową.

- Czasem wystarczy kogoś raz zobaczyć i już się to wie. Chwilę później, kiedy się otrząsnąłem, poszliśmy wszyscy na naleśniki, ja, moi kumple, Anabel i jej przyjaciele. Później często przyjeżdżała do Queens. Kilka razy jadła nawet kolację w moim domu z moją rodziną. Ale nigdy nie zaprosiła mnie do siebie, żebym poznał jej rodziców.

Powiedział to bez goryczy. Stwierdził fakt, rozumiał, dlaczego nie chciała włączać go do swojego życia. To bardzo szlachetne z jego strony, pomyślała Chloe, choć nie akceptowała zachowania Anabel. Wyobrażała sobie, że Hogan był wówczas równie miły jak obecnie. Czy to ważne, jakie miejsce nazywał domem?

- To jej rodzice - podjął, jakby czytał w jej myślach - a zwłaszcza ojciec nie chciał, żeby się umawiała z chłopakiem spoza środowiska. Wpadłaby w tarapaty, gdyby się o mnie dowiedzieli. Rozumiałem, czemu nikomu nie zdradziła, że się ze mną spoty-

ka.

- Skoro pan to rozumiał - rzekła Chloe - to czemu nadal po tak długim czasie jest pan sam? Czemu pan na nią czekał?

Przestraszyła się, że przekroczyła granice, zadając mu tak osobiste pytanie.

Hogan jednak nie wydawał się urażony.

- Nie siedziałem beczynn timer przez piętnaście lat. Umawiałem się z dziewczynami, nigdy jednak z żadną nie czułem się tak jak z Anabel. Brakowało tej iskry.

Chloe uważała, że miłość to nie grom z jasnego nieba. Rozumiała, że można kogoś ujrzeć i od razu wiedzieć, że to on. Tak było też w jej przypadku. Z Samuelem. W dniu, kiedy wszedł na lekcję angielskiego w pierwszej klasie, podniosła wzrok znad „Buszującego w zbożu” i spojrzała w najśłodsze niebieskie oczy, jakie widziała w życiu. Od razu wiedziała, że coś ich łączy. Coś. Nie miłość.

Miłość przyszła później. Bo miłość to coś doniosłego. Wymaga czasu. Przynajmniej dla Chloe. Najwyraźniej Hoganowi wystarczył grom z jasnego nieba.

- Teraz Anabel jest wolna - powiedziała, odsuwając na bok przeszłość.

- Wydaje mi się, że wyrosłem z fajerwerków - odrzekł tajemniczo. - Ale tak, miałbym ochotę do niej zadzwonić i jakoś się umówić.

- To może urządzi pan kolację? - zasugerowała.

Zastanawiała się, czemu w jej głosie brak entuzjazmu. Uwielbiała gotować i przygotowywać przyjęcia. Układać menu.

- Mógłby pan zaprosić Anabel i kilka par. Może przyjaźni się nadal z kimś, kto był z nią tamtego wieczoru, kiedy się poznaliście.

Powiedziawszy te słowa, poczuła w ustach dziwną gorycz. Może to wino. Żeby się upewnić, wypła kolejny łyk. Nie, pinot noir smakowało całkiem dobrze.

- Może - odrzekł Hogan.

- Naprawdę to dobry pomysł - upierała się. - Bo...

Cóż, Hogan potrzebował kogoś, kto popchnie go w stronę Anabel, skoro sam nie potrafił zrobić pierwszego kroku. Dał

Chloe do zrozumienia, że wciąż tęskni za kobietą, którą kocha od lat. Przygotowując tę kolację, Chloe miałaby na czym się skupić, by nie myśleć o tym, o czym nie powinna.

- Doceniam pani dobre chęci, ale... - zaczął znów.

- Kolacja dla sześciu czy ośmiu osób - przerwała mu.

- Ale...

- Mogę ją zorganizować na następny weekend. Pod warunkiem, że wszyscy będą wolni.

- Ale...

- Proszę się niczym nie martwić. Wszystkim się zajmę. To będzie dla pana świetne wejście do nowego świata, którego z jakiegoś powodu dotąd pan unika.

- Tak, bo...

- Więc za tydzień od jutra. Jeśli poda mi pan nazwiska, zadzwonię do wszystkich z zaproszeniem.

Otworzył usta, by znów zaprotestować, ale chyba zabrakło mu argumentów. Prawdę mówiąc, wyglądał jak przysłowiowy zając złapany w światła reflektorów.

Potem ją zaskoczył, kompletnie zmieniając temat.

- Skąd pani pochodzi? Z jakiegoś miasta w Indianie?

- New Albany - odparła. - To w południowej części stanu. Nad rzeką Ohio.

- Zaryzykuję i powiem, że pewnie nie przypominało Manhattanu. Ani nawet Queens.

- Nie, ani trochę. Tam jest spokojnie. I ładnie. To dobre miejsce dla dzieci. Co prawda niewiele tam rozrywek dla dzieciaków, ale jest miło. A Louisville jest zaraz na drugim brzegu rzeki. Więc jeśli ktoś zatęskni za miastem, może tam pojechać. To nie jest takie miasto jak Nowy Jork, oczywiście. Ale czasem wieczorami, kiedy byliśmy nastolatkami, jeździliśmy z Samuelem na rowerach nad rzekę i patrzyliśmy na Louisville. Wydawało nam się wtedy takie ogromne. Tyle światła i mostów. W porównaniu z Nowym Jorkiem oczywiście...

Kiedy urwała, Hogan powiedział:

- Byliście bardzo młodzi, kiedy się poznaliście.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak wiele zdradziła. Nie chciała znów mówić o Samuelu. Ale chyba nie dało się myśleć

o domu, nie myśląc o Samuelu. O dziwo jednak nie było to teraz takie bolesne jak dawniej.

- W liceum - usłyszała swój głos. - W pierwszej klasie. Pobraliśmy się na drugim roku college'u. Wiem, byliśmy za młodzi - powiedziała, czytając mu w myślach.

Wszyscy uważali, że ślub w wieku dwudziestu lat to dużo za wcześnie. Nadal tak uważali. Dla Chloe i Samuela to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

- Jak on...? - zaczął Hogan. - To znaczy... jeśli pozwoli pani, że spytam. Co się stało?

Chloe cicho westchnęła. Powinna wiedzieć, że wcześniej czy później Hogan o to spyta. To jej wina. To ona poruszyła temat męża. Nie miała pojęcia, co ją do tego skłoniło.

- Bezobjawowa choroba wieńcowa - odparła. - Nikt o tym nie wiedział, dopóki w wieku dwudziestu dwóch lat Samuel nie dostał rozległego zawału, który go zabił, kiedy kroił paprykę na szakszuke. To tunezyjskie danie. Specjalizował się w kuchni śródziemnomorskiej - dodała. - Bylibyśmy niepokonanym zespołem, gdybyśmy otworzyli restaurację.

Hogan przez chwilę milczał, potem odezwał się cicho:

- Te bluzy szefa kuchni, które pani nosi, należały do niego, tak?

Chloe skinęła głową.

- Po tym, jak... Jak rozsypaliśmy jego prochy w Brown County, zdałam sobie sprawę, że nic po nim nie mam, żadnej pamiątki. Nie wymieniliśmy się obrączkami podczas ślubu, nie dawaliśmy sobie prezentów. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Symbole uczuć nigdy nie wydawały nam się ważne. Więc kiedy odszedł, zaczęłam nosić jego bluzy.

Myślała, że dzięki temu będzie czuła jego bliskość. Ale tak się nie stało. To nie dzięki ubraniom pozostał w jej pamięci. Gdyby potrzebowała pamiątek, nigdy nie opuściłaby Indiany. Ale nosiła już jego bluzy tyle czasu, że porzucenie tego zwyczaju zdawało się nie w porządku.

Sięgnęła po wino. W ustach i gardle poczuła miłe ciepło. Mimo to nie pozbyła się chłodu, który ją ogarnął. Odstawiła kieliszek i mocniej owinęła się szalem.

- Tak mi przykro, Chloe - powiedział Hogan. Jego głos w ciemności był jak pieszczota. - Nie powinienem był dopytywać o szczegóły.

- W porządku - odparła, chociaż nic nie było w porządku. - To było dawno temu. Nauczyłam się z tym żyć. Pieniądze, które zarabiam, idą na fundację imienia Samuela. Dzięki niej badania dzieci są tańsze i bardziej dostępne. Świadomość, że ktoś może dłużej żyć z tymi, których kocha, dzięki temu, że jego choroba zostaje wcześniej wykryta i odpowiednio leczona, bardzo mi pomaga.

Hogan milczał. Chloe na niego spojrzała. Nie wyglądał na skrepowanego. Przede wszystkim patrzył na nią ze współczuciem i życzliwością. On też w młodym wieku stracił tych, których kochał, więc może to rozumiał.

- Skłamałam mówiąc, że przyjechałam do Nowego Jorku, bo chciałam otworzyć tu restaurację - przyznała. - Nie mogę tego zrobić bez Samuela. To było nasze wspólne marzenie. Tak naprawdę przyjechałam tu, bo pomyślałam, że to dobre miejsce, żeby się zgubić. Takie wielkie miasto, i tyle ludzi. Myślałam, że tu będzie mi łatwiej niż w miejscu, gdzie wszystko by mi o nim przypominało. I całkiem nieźle mi szło. Kiedy skupiam się na gotowaniu, nie myślę o tym, co się stało. A przynajmniej nie myślałam, dopóki...

Omam mu nie powiedziała, że wszystko jakoś się układało, dopóki go nie spotkała. Bo to spotkanie obudziło rozmaite uspięne emocje. Uczucia, które budził w niej dotąd tylko jeden człowiek. Ledwie przeżyła stratę Samuela. Za nic w świecie nie może zaryzykować doświadczenia tego po raz drugi. Nie dopuści do tego, by ktokolwiek jeszcze tak wiele dla niej znaczył.

- Udawało się, dopóki nie zadałem pani tego pytania - dokończył jej zdanie. Co prawda niezgodnie z prawdą. - Naprawdę jestem głupkiem.

- Nie, nie to chciałam powiedzieć. - Zanim poprosił o wyjaśnienie, dodała: - W każdym razie tak to właśnie wygląda.

Od chwili, gdy wyszli na dach, temperatura gwałtownie spadła, chłodny wiatr zakołysał kwiatami w doniczkach i lampkami nad ich głowami. Chloe znów mocniej otuliła się szalem, ale to

niewiele pomogło. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami.

- Zna pan to powiedzenie, że lepiej kochać i stracić, niż nigdy nie kochać?

- Tak - odparł cicho.

- Ludzie wymyślają tyle bzdur.

Po chwili spytał jeszcze ciszej:

- Naprawdę tak pani myśli?

- Tak - odpowiedziała natychmiast.

Hogan odczekał chwilę, potem trochę się przysunął i otoczył ją ramieniem. Czubek jej głowy znalazł się pod jego brodą. Chloe przytuliła policzek do jego ramienia, położyła dłoń na jego piersi.

W jego geście ani w jej reakcji nie było nic niewłaściwego. Po prostu jeden człowiek pocieszał drugiego człowieka. Minęło sporo czasu, odkąd ktoś przytulał Chloe, choćby niewinnie. Dużo czasu, odkąd ktoś ją pocieszał. Teraz otoczyło ją ciepło i zapach Hogana, czuła bicie jego serca.

I po raz pierwszy od lat - sześciu lat, dziewięciu miesięcy, jednego tygodnia i jednego dnia - Chloe poczuła, że to na nią działa.

Po śmierci Samuela przez jakiś szukała pocieszenia u rozmaitych mężczyzn, którzy nie mieli jej do zaoferowania nic poza fizycznym zaspokojeniem. To zachowanie - nieodpowiedzialne i autodestrukcyjne - przypominało postępowanie jej matki. Kiedy w końcu sobie to uświadomiła, skończyła z tym i zamknęła się w sobie. Aż do tego wieczoru.

Nagle zapragnęła, by Hogan ją obejmował, by ją pocieszał. Chciała wszystkiego, co mógł jej zaoferować. Przypomniała sobie, że jego serce należy do kogoś innego i z kimś innym widział swoją przyszłość. Ale Chloe nie chciała z nim spędzić przyszłości. Już nigdy nie będzie niczego planowała. Ale noc z Hoganem?

W tym momencie noc z Hoganem wydawała jej się świetnym pomysłem.

Przekrzywiła głowę, by spojrzeć mu w twarz. Jego brązowe oczy były ciemne jak noc, wiatr zmierzwił mu włosy, spychając



kosmyk na czoło. Niewiele myśląc, odsunęła ten kosmyk, a potem delikatnie pogłaskała go po czole. Później przesunęła rękę niżej, na jego brodę. Potem jeszcze niżej, na szyję. Kiedy go dotykała, jego źrenice się powiększyły, rozchylił wargi.

Wciąż nie była pewna, co nią powoduje, i mówiąc szczerze, nic jej to nie obchodziło. Hogan pochylił głowę i musnął jej wargi, raz, drugi, potem trzeci, aż przycisnął wargi do jej ust. Przez długą chwilę ją całował, a ona oddawała mu pocałunek. Żadne z nich nie zmieniło pozycji. Jakby każde zostawiało temu drugiemu możliwość przerwania tego, nim posuną się dalej.

Ale żadne z nich nie chciało skończyć.

Chloe wsunęła palce we włosy Hogana i całowała go. Hogan z kolei spuścił rękę na jej biodro i przycisnął ją mocno, a kiedy wciągnął ją na kolana, zarzuciła mu ręce na szyję i trzymała go ze wszystkich sił.

Nie miała pojęcia, ile czasu tak trwali – może chwilę, może tysiąclecia. Dotykała go wszędzie, gdzie była w stanie sięgnąć, aż wreszcie wsunęła rękę pod jego bluzę. Miała wrażenie, że dotyka pokrytej jedwabiem gorącej stali. Już prawie zapomniała, jak wygląda ciało mężczyzny, i z przyjemnością odkrywała to na nowo. Hogan też nie tracił czasu. Kiedy ujął jej pierś, krzyknęła, choć dotykał jej przez sweter. Po prostu tak długo żaden mężczyzna jej nie dotykał.

Dłoń Hogana znieruchomiała, spojrzał na nią pytająco, jakby czekał, aż ona zrobi następny ruch. Powiedziała sobie, że powinni przystopować. Posunęła się nawet do tego, że oznajmiła:

– Chyba nie powinniśmy... – ale nie była w stanie, a może nie chciała powiedzieć reszty.

Zamiast tego dodała:

– Chyba nie powinniśmy tego robić na dworze.

Hogan zawahał się.

– Więc... powinniśmy wejść do domu?

Teraz Chloe się zawahała. Przez moment.

– Tak.

Ostatni raz pochylił głowę. Dotknął jej piersi. Wreszcie wziął Chloe za rękę, wstał i przyciągnął ją do siebie. Znowu ją pocałował, długo i namiętnie, a później poprowadził ją do wejścia na

dach. Tam przycisnął ją do ściany, pogłębiając pocałunek. Chloe wsunęła znów ręce pod jego bluzę i położyła je na jego gorących plecach. Hogan wsunął rękę między jej nogi i pieścił ją przez spodnie, aż zaczęła kołysać biodrami.

Jakimś cudem zdołali zejść do sypialni Hogana. Jakimś cudem się rozebrali. Potem Chloe wylądowała w łóżku, a Hogan zaraz po niej i na niej. Kiedy wsunął palce między jej nogi, z satysfakcją poczuł, że jest gotowa. Z trudem łapała oddech. Zaczął pieścić jej piersi. W odpowiedzi objęła go nogami w pasie, jakby zamierzała już zawsze go tak trzymać.

Jednak on miał inne plany. Lekko szczytnął zębami jej pierś, a potem powędrował wargami w dół. Na chwilę zatrzymał się przy pępku, by zjechać jeszcze niżej. Rozsunął jej uda dość szeroko, by zmieścić między nimi głowę i poznać jej smak.

Ta pieszczota była niemal nie do zniesienia. Chloe próbowała go nawet odepchnąć, ale trzymał ją mocno. W końcu rozżarzoną do białości Chloe wstrząsnęła fala dreszczy. Ale Hogan nie ustawał i zanim się wyciszyła, przeniósł wargi na jej piersi.

Już tylko czuła i reagowała. Nie myślała. Nie miała żadnych trosk. Był tylko Hogan i wszystko to, co chciała z nim zrobić. Gdy uniósł głowę, przyciągnęła ją i przycisnęła usta do jego warg, szukając jego członka. Był gotowy tak jak ona. Nie spieszyła się jednak. Chciała go bardziej podniecić, dotykała go, obejmowała, głaaskała.

Kiedy położył się na plecy, by ułatwić jej dostęp, Chloe się nad nim pochyliła. Teraz ona poznawała jego smak, podziwiając, jak budził się do życia. A gdy poczuła, że zbliża się koniec, usiadła na nim, po czym powoli się uniosła. Hogan chwycił ją za biodra, prowadził ją w górę i w dół. Leniwie. Spokojnie. Kiedy oboje byli już blisko orgazmu, Hogan przewrócił znów Chloe na plecy. Chwycił jej nogi w kostkach, a potem przed nią uklęknął i szeroko rozsunął jej uda. Zanurzył się w niej tak głęboko, jak tylko było to możliwe.

Nigdy nie czuła się bardziej spełniona niż podczas tych chwil. Za każdym razem, gdy lekko się wysuwał, unosiła biodra, a on znów na nią spadał. Dotarli do celu jednocześnie. Chwilę później Hogan znalazł się znów na plecach, zaś Chloe leżała na

nim. Była oszołomiona. A jej serce...

Zacisnęła powieki. Tej nocy myśli nie zostaną wypowiedziane do końca. Tylko jej ciało doświadczyło spełnienia. I choć od dawna nie czuła się tak spełniona, już chciała więcej.

To znaczy jej ciało chce więcej, poprawiła się. Ale kiedy zamknęła oczy cudownie zmęczona, poczuła, że Hogan wyciska całusa na czubku jej głowy. I pomyślała, że z tego wszystkiego, co właśnie z nią robił, ten całus przyniósł jej najwięcej satysfakcji.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Budziła się powoli. Nie znosiła budzić się przed nastawionym na piątą budzikiem, ponieważ później nie mogła już zasnąć. Jej umysł zaczynał natychmiast pracować, przeglądał listę rzeczy do zrobienia i nie przestawał, dopóki nie wstała, by się tym zająć.

O dziwo jednak tego ranka jej umysł wydawał się być bardziej senny niż ona i nigdzie się nie spieszył. Żadne myśli na temat złożoności sufletu ze szparagów i brie, który planowała przygotować na śniadanie, nie tłukły jej się po głowie. Nie martwiła się, że cząber i majeranek trochę jakby przywiedły, więc powinna je odżywić. Nie, jeśli w ogóle myślała, to tylko o...

Hoganie. O mój Boże, tej nocy kochała się z Hoganem. Co gorsza, obudziła się w jego łóżku zamiast w swoim. Musi teraz wymknąć się po cichutku, nim Hogan się obudzi, by przygotować mu śniadanie, a potem zastanowić się, jak udawać, że ten ranek nie różni się od poprzednich.

„Proszę usiąść w jadalni, Hoganie, a ja przyniosę ci śniadanie tak jak zawsze, jakbyśmy kilka godzin temu nie połączyli się w najbardziej intymny sposób, w jaki dwoje ludzi może się połączyć”.

Tak, jasne. Teraz jej umysł zaczął pracować z prędkością światła.

Na szczęście pani Hennessey miała wolne weekendy, więc nie musiała się obawiać, że wychodząc z pokoju Hogana, na nią wpadnie. Pani Hennessey przypominała jej babkę, którą Chloe wyobrażała sobie teraz, jak na nią patrzy i mówi z rozczarowaniem: „*Mon petit doigt me dit...*”, co znaczy: „Ptaszki ćwierkają, że...”. Mémée nigdy nie musiała tego kończyć, bo gdy tylko zaczynała, Chloe zalewała się łzami i wyznawała swoje winy.

A teraz naprawdę nabroiła.

Spanikowana odwróciła się z nadzieją, że nie obudzi Hogana.

Ale druga połowa łóżka była już pusta. Westchnęła z ulgą. Zraz potem jej wzrok padł na budzik na nocnym stoliku.

Dochodziło w pół do dziesiątej! Nigdy nie sypiała do wpół do dziesiątej. Nawet kiedy miała wolne.

O tej porze powinna już posprzątać po śniadaniu i popijać herbatę z róży i lawendy, robiąc listę zakupów. Przespała śniadanie. Nigdy w życiu nie zawiodła żadnego z pracodawców. Jak mogła tak długo spać?

Odpowiedź przyszła do niej natychmiast, oczywiście. Zaspała, ponieważ bardzo późno zasnęła. A zasnęła tak późno, gdyż ona i Hogan... Cóż, dość powiedzieć, że Hogan był oddanym kochankiem, jeszcze bardziej nienasyconym niż ona.

Na samo wspomnienie tej nocy zrobiło jej się gorąco. Nie było takiego miejsca na jej ciele, którego by nie dotykał. A ten ostatni raz, gdy jednocześnie szczytowali, kiedy wszedł w nią głębiej niż ktokolwiek kiedykolwiek...

O Boże. Znowu zalało ją gorąco.

Jak mogła do tego dopuścić? Chętnie zrzuciłaby winę na wino. Albo na nieubłagany magnetyzm Hogana. Albo na romantyczną atmosferę nowojorskiej nocy. Wszystko poza własną słabością. A przecież wiedziała, że tylko siebie może winić. Przeszła się kontrolować. Otworzyła się przed Hoganem. Pozwoliła sobie na uczucia. Podjęła wielkie ryzyko.

Po śmierci Samuela ledwie się trzymała. Gdyby znowu coś – kogoś – straciła, mogłoby to oznaczać także i jej koniec.

Próbowała spojrzeć na to inaczej. Kochała się z Hoganem. I co z tego? Nie pierwszy raz uprawiała seks. Hogan pociągał ją fizycznie od chwili, gdy go poznała. Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Ale był zakochany w Anabel. Chloe nadal kochała zmarłego męża. Jedna noc seksu nie znaczy, że tego dnia spojrzą na siebie inaczej niż do tej pory. To tylko seks, nie miłość.

Czemu więc wszystko wydawało jej się jakieś inne?

Musi wrócić do siebie, by się zastanowić, co dalej. Po omacku usiłowała zapalić nocną lampkę, kiedy drzwi sypialni się otworzyły i stanął w nich Hogan. Miał na sobie dzinsy. I nic więcej. Niósł tacę z dzbankiem kawy i talerzykiem, którego zawartości nie widziała.

- Obudziłaś się - powiedział czule na powitanie.

Chloe się zdenerwowała. Czułość była surowo wzbroniona. W seksie nie ma miejsca na czułość. W życiu Chloe nie ma miejsca na czułość.

- No, tak - odparła, podciągając kołdrę, bo wciąż była naga. - Przepraszam, że zasnęłam. Zaraz ci przygotuję śniadanie...

- Już jest gotowe - przerwał jej.

Cóż, to nie będzie dobrze wyglądało w jej CV, pomyślała. Głównie dlatego, że obawiała się myśleć o czymś innym. Na przykład o tym, jak to miło ze strony Hogana, że przygotował śniadanie. Albo jak słodko brzmiał jego głos, gdy mówił, że śniadanie jest gotowe.

- Nie jest takie dobre, jak zrobione przez ciebie - podjął, kiedy milczała. - Ale nie chciałem cię budzić. Tak smacznie spałaś.

Wciąż nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Hogan wszedł do pokoju, który nadal pogrążony był w półmroku. Pierwsze kroki skierował do okna i odsunął zasłony, wpuszczając do środka słońce. Potem się uśmiechnął, jeszcze bardziej zbijając Chloe z tropu.

Kiedy nie odpowiedziała mu uśmiechem - nie mogła, bo była zbyt zmieszana - jego uśmiech zgasł. Przywołał go znowu, ale ten uśmiech nie był taki sam jak poprzedni.

Postawił tacę w nogach łóżka. Teraz Chloe zobaczyła, że prócz kawy znajdował się tam cukier i śmietanka, a także skromny wybór niezbyt fachowo pokrojonych owoców, szeroki wybór niedopieczonych i lekko przypalonych grzanek, trochę sera, który został z minionego wieczoru i masło.

- Nie wiem, jaką kawę pijasz - rzekł. - Ale znalazłem w lodówce śmietankę, więc ci przyniosłem. I cukier na wszelki wypadek.

Kiedy nadal milczała, usiadł na łóżku. A ponieważ było ogromne, znajdował się tak daleko od niej, jakby przebywał w Queens. Mimo to podciągnęła kołdrę, choć już ledwie było ją spod niej widać. Hogan zauważył ten gest i odwrócił wzrok, skupił się na śniadaniu.

- Dziwne - podjął.

Co mogło znaczyć wiele rzeczy. Na szczęście szybko wyjaśnił:

- Ty wiesz, co ja lubię jeść, a ja nie mam pojęcia, co ty lubisz na śniadanie. Nie wiem nawet, jaką kawę pijasz.

- Szczerze mówiąc, nie piję kawy - odparła.

- Naprawdę?

Pokiwała głową.

- Więc co robi w lodówce śmietanka do kawy?

- W kuchni francuskiej śmietanka jest niezbędna.

- Ach tak. Więc co pijasz zamiast kawy?

- Herbatę.

- Jeśli mi powiesz, gdzie ją znajdę, zrobię ci herbatę.

- Nie trzeba.

- Jeśli jesteś pewna...

- Jestem.

- Więc... jaką herbatę pijasz?

- Dragon. Z Paryża.

- Aha.

- Ale można ją kupić w Dean and DeLuca.

- Rozumiem.

- Pijam ją bez śmietanki.

- Okej.

- I bez cukru.

- Zapamiętam.

Rozmowa urwała się. Chloe patrzyła na Hogana. Hogan patrzył na Chloe. Chloe zdusiła chęć schowania się z głową pod kołdrą. Przypomniała sobie, że odmowa zjedzenia posiłku, który ktoś dla ciebie przygotował, to szczyt nieuprzejmości. Niestety miała ściśnięty żołądek, bała się, że cokolwiek wzięłaby do ust, nie trafiłoby dalej.

Potem, nim zdała sobie sprawę, co robi, rzekła:

- Jeśli chodzi o tę noc... - Niestety na tym zakończyła ten bań, bo nie miała pojęcia, co dalej. Mimo to podjęła kolejną próbę. - To, co się wydarzyło tej nocy - teraz przynajmniej nie mogła powściągnąć uśmiechu - było fantastyczne - przyznała.

- Też tak uważam.

Och, naprawdę powinna mówić szybciej. Nie musiała tego słyszeć. Chociaż nie było to dla niej niespodzianką. Zważywszy na to, jak chętnie Hogan...

Nieważne.

Zmusiła się do dokończenia tego, co miała nadzieję powiedzieć, na wypadek, gdyby Hogan zamierzał rozwinąć swoje zdanie.

- Ale to nie powinno się było zdarzyć.

Tym razem milczał. A zatem Chloe starała się to wytłumaczyć.

- Wczoraj wieczorem mówiłam o Samuelu i sprawach, o których nikomu innemu nie opowiadam. Poza tym wypiliśmy wino, no i ten widok Nowego Jorku nocą, i... - Urwała, zanim dodała „I ty”, po czym podjęła: - Stało się coś, co nie miało prawa się stać. Co nie stałoby się w innych okolicznościach. To się więcej nie powtórzy. Jesteś moim pracodawcą. Myślę, że oboje zgodzimy się, że tak powinno zostać.

W dalszym ciągu milczał, więc dorzuciła:

- Chcę tylko, żebyś wiedział, że nie oczekuję dalszego ciągu. Nie chcę, żebyś myślał, że moim zdaniem to... - pokazała ręką na niego i na siebie - coś zmienia. Wiem, że nie.

Wciąż nie doczekała się reakcji. Patrzył na nią z namysłem, jakby usiłował to wszystko pojąć.

Powodzenia, pomyślała Chloe. No ale może on nie był tak zmieszany jak ona. Mężczyźni są w tym lepsi niż kobiety, prawda? Potrafią poukładać sobie różne rzeczy w różnych szufladkach i nie łączyć ich z sobą.

W jednej szufladzie seks, w drugiej miłość. W jednej chwila obecna, a drugiej przyszłość. Pewnie Hoganowi w ogóle nie przyszło do głowy, że ta noc mogłaby do czegoś prowadzić. Teraz czekał na zapewnienie Chloe, że się z nim zgadza.

A zatem oznajmiła mu jasno i wyraźnie - mężczyźni lubią, kiedy kobiety mówią do nich jasno i wyraźnie:

- Niczego się nie spodziewam. Niczego od ciebie nie oczekuję. To, co się między nami wydarzyło, już się nie powtórzy. Wiem, że wciąż kochasz Anabel.

- A ty wciąż kochasz Samuela.

- To prawda.

Kiwnął głową. Jego mina niczego nie zdradzała.

- Masz rację - przyznał w końcu. - We wszystkim. To, co się



stało, już się nie odstanie. Ale to nic wielkiego.

Tego nie powiedziała. Jezu. Zaraz, moment. Tak, powiedziała. A przynajmniej tak właśnie myślała, zanim Hogan przyszedł ze śniadaniem. Wyglądał tak słodko i mówił tak czule. Ale to nic takiego. We wszystkim się zgadzają.

Spojrzała na przygotowane przez niego śniadanie. Liczyła na to, że kiedy otwarcie powiedzą sobie, co się stało minionej nocy, kiedy to nazwą, poczuje się lepiej. Tymczasem nadal była kłębkim nerwów.

Postarała się jednak uśmiechnąć i spytała:

- Mógłbyś mi podać grzanekę, proszę?

Uśmiech Hogana wyglądał na wymuszony.

- Jasne.

Przesunął tacę na środek łóżka. Chloe sięgnęła po grzanekę. Ale gdy tylko wyciągnęła rękę, kołdra zaczęła się z niej zsuwać, więc czym prędzej znów usiadła prosto.

- Powinienem był pozwolić ci się ubrać - rzekł Hogan, podnosząc się z łóżka.

- A ty nie zjesz śniadania?

- Wypiłem kawę. Na razie mi to wystarczy. Jedz. - Ruszył w stronę drzwi. - Zresztą i tak mam dzisiaj coś do roboty.

- Okej.

- Aha, jestem prawie pewny, że nie wrócę do domu na kolację, więc nie rób sobie kłopotu.

- Chciałam przygotować *blanquette de veau*. Według przepisu mojej babki.

- Może innym razem.

Zanim się odezwała - chociaż nie miała pojęcia, co powiedzieć - mruknął:

- To na razie. - I wyszedł, zostawiając ją samą.

Cieszyła się, bo chciała zostać sama. Od sześciu lat była sama. Sześć lat, dziewięć miesięcy, jeden tydzień i... ile dni? Musi policzyć. Dwa dni. Jeśli chce zachować zdrowie psychiczne, musi zostać sama. Zwłaszcza po tym, jak minionej nocy straciła rozum.

Miała rację. To nie powinno się było zdarzyć.

Kiedy pochylił się nad maską kabrioletu mustanga z 1972 roku, który należał do Benny'ego Choi, powtórzył w myśli słowa Chloe. Może jeśli powtórzy je wystarczającą liczbę razy, to w nie uwierzy. Chloe trafiła w dziesiątkę, twierdząc, że miniona noc była błędem. To był błąd. Niewiarygodnie erotyczny i niewiarygodnie satysfakcjonujący, ale jednak błąd.

Ona wciąż kocha zmarłego męża. Pierwsza miłość to mocny koktajl. Nie ma lekarstwa na kaca po takim koktajlu. Do diabła, świetnie o tym wiedział, bo wciąż był zakochany w Anabel. Prawda?

Oczywiście że tak. To, co się stało między nim i Chloe, było tylko produktem ubocznym uczuć, którymi darzyli innych, a które zbyt długo tłumili. Chloe tęskniła za mężem, on tęsknił za Anabel. Zwrócili się ku sobie, szukając pocieszenia.

Takie rzeczy się zdarzają. To nic znaczącego. Teraz, gdy już odreagowali, mogli znów wrócić do miłości swojego życia.

Tyle że Chloe nie miała już szansy wrócić do męża.

- Dzięki, że przyszedłeś - powiedział Benny, kiedy Hogan zamknął maskę samochodu. - Teraz, jak nie ma już twojego taty, jesteś jedynym gościem, któremu ufam.

Ojciec Hogana i Benny przyjaźnili się od podstawówki. Benny był dla Hogana jak wuj. Włosów miał coraz mniej, kilogramów też, nosił niebieski uniform pracownika nowojorskiego transportu. Właśnie skończył zmianę.

- Nie ma sprawy, Benny - zapewnił go Hogan. - Z przyjemnością tu wracam. Brakuje mi tej roboty.

- Ha! - rzekł Benny. - Gdybym dostał taką kasę jak ty, nie byłoby mnie już w Nowym Jorku. Popłynąłbym sobie na Karaiby, opłynąłbym Meksyk. Potem pojechałbym na Alaskę. Później... Sam nie wiem. Ale na pewno nie wkładałbym głowy pod maskę wózka Benny'ego.

Hogan się uśmiechnął.

- Co kto lubi.

Przeszli do biura, by Hogan wystawił Benny'emu rachunek. Co wydawało się głupie, skoro nie robił już tego dla zarobku i nie musiał od nikogo brać pieniędzy za części ani pracę. Wiedział jednak, że nie może powiedzieć tego Benny'emu. Benny,

jak wszyscy w dawnym sąsiedztwie Hogana, zawsze za siebie płacił. A zatem Hogan obniżył cenę o dwadzieścia procent, a kiedy Benny to zauważył, nazwał to nową stawką dla przyjaciół i rodziny.

Po wyjściu Benny'ego Hogan siedział w biurze, słuchając stukotu metalu. Pozostali mechanicy nadal pracowali. Wdychał woń smarów, przypominał sobie wagę każdego narzędzia. Nie może tego rzucić. Wielu ludzi uzna, że zwariował, chcąc nadal pracować, skoro jego sytuacja finansowa tak radykalnie się zmieniła.

Nic go to nie obchodziło. Pracował w tym warsztacie prawie dwie dekady. To było jedyne miejsce, gdzie czuł się sobą. Przy najmniej do ostatniej nocy, kiedy Chloe...

Warsztaty Dempseya, pomyślał znowu, odsuwając myśl o tym, co się nie powtórzy. Prawdę mówiąc, podobało mu się, jak to brzmi. Istnieje wiele niezależnych warsztatów, które walczą o byt. Mógłby je wykupić, zainwestować w nie tyle, ile konieczne, by stały się konkurencyjne, zatrzymać wszystkich tych, którzy chcieli nadal pracować i dać wszystkim nowy cel.

Mógłby zacząć w Nowym Jorku i rozwijać się w całym stanie. Potem może także w innych stanach. To miejsce byłoby jego warsztatem flagowym, wizytówką firmy, a on codziennie przychodziłby tu do pracy.

Przy tak ambitnym projekcie miałby dużo zajęć. Ale w pracy się rozwijał. To z powodu beczynności czuł się zagubiony, jakby w jego życiu czegoś brakowało.

I jeszcze jedno. Wcale nie musi mieszkać w lepszej dzielnicy. Może sprzedać dom dziadka. I tak nie czuł się tam jak u siebie, a dla jednej osoby dom jest o wiele za duży. Oczywiście już długo nie będzie sam.

U jego boku pojawi się Anabel, a jeśli szczęście mu dopisze, niedługo także raczkujące maluchy, które trzeba mieć na oku. Mimo wszystko mogą z Anabel znaleźć inny dom, który przypadnie im do gustu. Z pewnością osiągną jakiś kompromis.

Im więcej myślał o swoich nowych planach, tym bardziej mu się podobały. Te dotyczące warsztatu skryształizowały się o wiele szybciej niż te związane z Anabel. Na pewno dlatego, że akurat

siedział w warsztacie, zaś Anabel czekała, aż nawiąże z nią kontakt.

Zobaczy ją w następny weekend na wymyślonej przez Chloe kolacji. Tak, Hoganowi niewiele brakowało do tego, by mieć wszystko, czego pragnął.

Dzięki Chloe.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tydzień później stał w salonie i zastanawiał się, czemu, do diabła, zgodził się, by Chloe urządziła to przyjęcie. To dla Anabel, przypomniał sobie. Zresztą Chloe znalazła się u niego, bo chodziło mu o odzyskanie Anabel.

Pomimo nocy z Chloe, do której żadne z nich więcej nie wracało, właśnie tego wciąż pragnął. Prawda?

Oczywiście, że tak. Niemal połowę swojego życia pragnął Anabel. Była jego świętym gralem. Jego niespełnionym marzeniem. Które teraz mogło się spełnić. Wystarczy, że dobrze to rozegra. Zaczynając od tego wieczoru. Gdyby tylko wciąż nie wracał myślą do tego, jak kochał się z Chloe – to znaczy do seksu z Chloe – i skupił się na Anabel.

Jakoś nie czekał niecierpliwie na ten wieczór. Cieszył się, że nie spodziewają się zbyt wielu gości. Chloe zaprosiła tylko Anabel i trzy pary, dwie z nich to byli przyjaciele Anabel, osoby, które wedle Chloe powinien poznać. Trzecią parę stanowił Gus Fiver z osobą towarzyszącą.

Hogan zdawał sobie sprawę, że to on powinien coś zaplanować, on powinien zaprosić Anabel. I że powinni być z Anabel sami, tylko ona i on.

Czemu więc tego nie zrobił? Już od miesiąca mieszka w domu dziadka, miał mnóstwo czasu, by się zorientować w zwyczajach swojej nowej okolicy. Tymczasem widział się z Anabel tylko raz, w dniu, kiedy pojawiła się w jego domu, żeby z powrotem ściągnąć do siebie Chloe.

Wiele razy w ciągu minionych tygodni myślał o tym, by ją gdzieś zaprosić. Zawsze jednak zwyciężało wahanie. Ponieważ chciał zrobić na Anabel wrażenie, a jeszcze nie wiedział, jak to osiągnąć.

Dawniej świetnie się bawili, spacerując promenadą Rockaway Beach albo rozgrywając kilka partyjek w kręgle w Jib Lanes czy

wypijając parę koktajli mleczno-czekoladowych w Pop's Diner. Teraz...

Może jest szalony, ale nie wyobrażał sobie, żeby teraz Anabel robiła podobne rzeczy. Nie miał pojęcia, co lubi dzisiejsza Anabel. I dlatego do tej pory nigdzie jej nie zaprosił.

Tego wieczoru wszystkiego się dowie i zorganizuje randkę. Do lata, obiecał sobie, będą zaręczeni. Potem będą żyli razem szczęśliwie do końca życia. Tak jak w książkach.

- Chyba się przebierzesz, prawda?

Hogan odwrócił się i w drzwiach zobaczył Chloe ubraną od stóp do głów w śnieżnobiały strój szefa kuchni. Od minionego weekendu prawie jej nie widywał.

Podając mu posiłki, tak szybko wpadała do jadalni i z niej wypadała, że ledwie zdążył powiedzieć cześć czy dziękuję.

Tego wieczoru miała na sobie bluzę, która chyba była w jej rozmiarze, zamieniła też wzorzyste spodnie na białe, tak czyste i wyprasowane, jak reszta jej stroju. Włosy splotła w dwa warkocze, które grzecznie opadały na ramiona. Warg nie pomalowała jak zwykle mocną czerwienią, tylko zgaszonym odcieniem różu.

Był to zapewne jej bardziej formalny strój. Choć obiecała mu, że to nie będzie formalny wieczór.

Hogan spojrzął na swoje niebieskie dżinsy, białą koszulę i Tomsy, które kupił na wyprzedazy. Wszystko proste, skromne i nierzucające się w oczy. Nie rozumiał, dlaczego Chloe coś się nie podoba. Nie znajdował powodu, dla którego miałby się przebierać.

- Powiedziałaś, że strój ma być nieformalny - przypomniał jej.

- Powiedziałam: styl biznesowy swobodny.

Wzruszył ramionami.

- Biznesmeni się tak ubierają.

- Nie na okazje, kiedy wymagany jest styl biznesowy swobodny.

- Jaka to różnica?

Raz jeszcze go zlustrowała.

- Niebieskie dżinsy, przede wszystkim. - Zanim się sprzeciwił, dodała: - Może dżinsy nadawałyby się na pewne biznesowe nie-

formalne spotkania, pod warunkiem, że byłyby ciemne i określonej marki.

- Levi Strauss szyje dzinsy od dziewiętnastego wieku - uważał.

Chloe splotła ramiona na piersi.

- Tak, a te, które masz na sobie, wyglądają, jakby pochodziły z jego pierwszej kolekcji.

- Lata mi zajęło, żeby je doprowadzić do takiego stanu.

- Nie możesz ich włożyć na kolację.

- Dlaczego?

- Bo nie są odpowiednie do...

- To co jest odpowiednie? - przerwał jej.

Naprawdę zaczynał nie lubić tego, że został bogaczem. W tym świecie obowiązuje zbyt wiele zasad.

Chloe westchnęła z irytacją.

- A to, co miałeś na sobie, kiedy poszliśmy na degustację win? To było w porządku.

- Gość, który na mnie wpadł, wylał trochę wina na moją marynarkę, jest jeszcze w pralni.

- To było kilka tygodni temu.

- Ciągłe zapominam ją odebrać. Nigdy jej nie noszę.

- No dobrze, a co jeszcze masz?

Spojrzał znów na swój strój.

- Mnóstwo takich ciuchów jak te, ale w innych kolorach.

- Pokaż mi.

Znów chciał zaproponować. Niedługo mają się pojawić goście, a on jest całkiem przyzwoicie ubrany, do cholery. Nie chciał się jednak sprzeczać z Chloe. Od tygodnia prawie nie rozmawiali.

Bez słowa ruszył w stronę schodów, a Chloe szła za nim - w bezpiecznej odległości. Powiedział sobie, że jeśli się przebierze, to tylko dlatego, by jak najlepiej zaprezentować się Anabel. Chciał wyglądać jak członek jej plemienia. Bo przecież teraz jest już członkiem jej plemienia. Czemu wciąż stara się udawać, że jest inaczej?

Wchodził na górę po dwa stopnie naraz, aż dotarł na ostatnie piętro, i dopiero wtedy zobaczył, jak daleko za nim była Chloe. Po prostu z jakiegoś powodu był zniecierpliwiony. Kiedy zostało

jej do pokonania kilka ostatnich stopni, wszedł do sypialni i otworzył garderobę, tak dużą jak jadalnia w domu, gdzie dorastał.

Były tam cztery drążki, po dwa z każdej strony. Do powieszenia koszul, garniturów i tym podobnych rzeczy. Z obu stron znajdowały się półki na buty, a poza tym była cała ściana szuflad. Wszystkie ubrania Hogana nie zajmowały nawet jednej czwartej tej przestrzeni. Szuflad prawie nie zapełnił.

Pani Hennessey zaczęła wnosić garnitury i buty dziadka, zanim Hogan się wprowadził. Przekazywała je organizacji, która ubierała bezdomnych i byłych więźniów na rozmowy o pracę – dziadek pewnie przewracał się w grobie. Za to Hogan musiał przyznać, że ten pomysł bardzo mu się podobał. A jednak gospodyni zostawiła kilka ubrań z jednej strony z myślą, że mogą się przydać Hoganowi, ponieważ był mniej więcej wymiarów dziadka. Hogan dotąd nawet ich nie obejrzał.

Nie wyobrażał sobie siebie wystrojonego w garnitur z Wall Street, niezależnie od tego, jak wysoko wspiał się po drabinie społecznej.

Chloe stanęła z wahaniem przed drzwiami sypialni, patrząc na pokój ponad ramieniem Hogana. Były tam ciężkie perskie dywany w odcieniach ciemnej zieleni, złota i rdzy, skórzana kanapa i fotel, cztery obrazy olejne przedstawiające jakieś europejskie miasto z czterech punktów widzenia, rząd modeli samochodów na półce nad kominkiem, mahoniowe łóżko i komoda, które bardziej pasowałyby do sypialni jakiegoś króla niż mecha-nika.

Wtedy właśnie zdał sobie sprawę, że Chloe nie patrzy na pokój. Patrzy na łóżko. To łóżko, gdzie o tej samej porze przed tygodniem robili takie rzeczy, o których ledwie śmiał fantazjować. Rzeczy, o których dużo myślał. I które, prawdę mówiąc, chętnie by powtórzył.

Tyle że tym razem z Anabel, powiedział sobie natychmiast. O dziwo jednak, ilekroć myślał o tych rzeczach – zwykle gdy leżał na plecach w tym właśnie łóżku i gapił się w sufit – w jego fantazjach zawsze występowała Chloe.

A zatem, by żadne z nich nie myślało o tamtej nocy, powie-



dział:

- Tak, wiem, ten pokój do mnie nie pasuje, prawda? Nawet modele samochodów to antyki warte tysiące dolarów, wygooglowałem je, a nie plastikowe modele, które składałem w dzieciństwie. Niczego tu nie zmieniłem, myślałem, że się przyzwyczaję. Ale się nie przyzwyczałem. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek w tym domu przestał się czuć outsiderem.

Nie znosił urazy, którą słyszał w swoim głosie. Jego dom był dla niego za duży i zbyt luksusowy. Posiadał antyki i kolekcje warte miliony dolarów, z którymi nie wiedział, co począć. Nigdy sobie nie wyobrażał, że tak właśnie wygląda bycie bogatym.

- W takim razie urządz ją po swojemu - odparła cierpko Chloe.

- Tak, jasne - odparował. - Bóg jeden wie, że mam świetny gust, ukształtowany podczas pracy pod samochodami na ulicy pełnej neonów, winiarni i cementu. Do diabła, najwyraźniej nawet nie potrafię się ubrać.

Chloe się skrzywiła, bo ostatnie słowa były przytykiem pod jej adresem.

- Nie to miałam na myśli.

- Nie?

- Nie, ja...

Zamiast się tłumaczyć, weszła do garderoby.

- Moje rzeczy są po lewej - wskazał Hogan. - Po drugiej stronie jest to, co zostało z rzeczy dziadka.

Nie żartował, mówiąc, że wszystko, co posiadał, było niemal identyczne jak ubranie, które miał na sobie. Rzeczy różniły się tylko kolorami. Nigdy nie interesował się modą. Kiedy stare ubrania się zniszczyły, kupował nowe, a gdy trafił na coś, co mu się podobało, kupował kilka sztuk w różnych kolorach.

Odkąd zaczął nosić dżinsy, był wierny jednej marce. A pierwsze dżinsy kupił takie same, jakie nosił ojciec. Gdyby od tego zależało jego życie, pewnie byłby w stanie podać markę. Po prostu nie poświęcał ubraniom uwagi.

A Chloe właśnie poznawała go od tej strony. Przejrzała całą jego garderobę z prędkością światła i nie znalazła jednej rzeczy, nad którą choćby się zawahała. Kiedy dotarła do ostatniej ko-

szuli, odwróciła się i dostrzegła szuflady. Zanim ją powstrzymał, otworzyła najbliższą szufladę i chwyciła pierwszą rzecz, na jaką trafiła – niebieskie bokserki. Nie, nie przejął się, że zobaczyła jego bieliznę. Nie miałby nic przeciw temu, by obejrzała ją na nim, choć o tym akurat nie powinien myśleć, oczekując przyjazdu wyczekiwanego gościa. Oparł się o drzwi garderoby i skrzyżował ramiona na piersi.

Za to Chloe, widząc, co trzyma w ręce, zaczerwieniła się. Hogan nigdy nie widział kobiety, która się czerwieni. Zwłaszcza z takiego powodu.

- W drugiej szufladzie są skarpetki i T-shirty - poinformował ją z nadzieją, że oszczędzi jej zażenowania.

Chociaż w skarpetkach i T-shirtach nie ma nic zawstydzającego. Co najwyżej ta jedna rzecz, że niektóre z nich miał od szkoły średniej.

- Ale nie sądzę, żebyś wybrała dla mnie T-shirt.

Chloe schowała bokserki do szuflady i zamknęła ją energicznie. Potem przeniosła wzrok na wieszak po drugiej stronie.

- To rzeczy twojego dziadka?

- Tak - przyznał Hogan. - Pani Hennessey przekazuje je stopniowo jakiejś organizacji charytatywnej.

Chloe podeszła do rzędów koszul, spodni i marynarek powieszonych porządnie naprzeciw jego ubrań i zaczęła je przeglądać. W pewnym momencie wyciągnęła kamizelkę i baczniej jej się przyjrzała.

- Proszę. - Podała ją Hoganowi jedną ręką, a drugą już przeglądała kolekcję krawatów.

Automatycznie wziął od niej kamizelkę, a potem przyjrzał jej się baczniej niż Chloe. Przód był z lekkiej czarnej wełny, miał rzeźbione czarne guziki, dałby głowę, że nie były plastikowe. Tył był z materiału, który wyglądał na jedwab, we wzór paisley, szary na szarym. Kamizelka była całkiem ładna, ale Hogan nie należał do mężczyzn, którzy noszą kamizelki.

Na wypadek, gdyby nie potrafiła czytać w jego myślach, oznajmił:

- Nie przepadam za kamizelkami...

- Włóż jeszcze to - przerwała mu, wyciągając rękę z krawa-

tem.

Ten również wyglądał na jedwabny, miał spokojny niebiesko-zielono-szary wzór, który pasował do kamizelki. Był dość ładny, ale Hogan nie należał do mężczyzn, którzy noszą krawaty.

- Nie przepadam za krawata...

- Dzisiaj to włożysz - powiedziała Chloe, zanim dokończył.

I jakby chciała mu to udowodnić, zanim się zorientował, już wkładała mu kamizelkę. Potem podniosła kołnierzyk koszuli, założyła mu krawat i zaczęła go zawiązywać.

Z początku nie szło jej sprawnie, jakby zapomniała, jak się wiąże męski krawat, ale za trzecim razem się udało. Swoją drogą Hogan też już tego nie pamiętał.

Od tygodnia nie stała przy nim tak blisko. Dość blisko, by widział maleńkie niebieskie punkciki w jej zielonych oczach i czuł ciepło, które łączyło się z jego ciepłem. Wyraźnie czuł jej zapach, charakterystyczną mieszankę mydła i świeżych ziół, i jeszcze czegoś, co należało tylko do niej. Stał tak blisko Chloe, że gdyby chciała, mógłby pochylić głowę i ją pocałować.

I oczywiście uświadomił sobie, że pragnie to zrobić. Chciał zresztą dużo więcej, ale mógłby zacząć od pocałunku i zobaczyć, dokąd ich to zaprowadzi.

- Proszę - powiedziała, przywołując go do porządku.

Przypomniał sobie, że szykuje się do kolacji z kobietą, którą chce poślubić. To nie jest dobry moment na rozważanie uczuć, jakie budzi w nim Chloe. Zresztą nic do niej nie czuł. W każdym razie nic takiego jak do Anabel.

Chloe po raz ostatni poprawiła mu krawat, po czym spojrzała mu w oczy. Jej źrenice powiększyły się, cofnęła się o krok.

- Muszę wracać do kuchni - oznajmiła bez tchu.

Potem minęła go szybkim krokiem i opuściła garderobę i sypialnię. Odprowadzając ją wzrokiem, Hogan zdał sobie sprawę, że nie opuściła jego myśli.

Hogana zaskoczyło to, jaką przyjemność sprawiło mu zabawianie prawie obcych osób w jego wciąż nieco obcym domu. Żona jednego z przyjaciół Anabel była w taksówce tamtego pamiętnego wieczoru przed laty, więc mieli co wspominać. Druga

para znajomych Anabel okazała się przyjazna i rozmowna. Gus Fiver ze swoją towarzyszką dzielili miłość Hogana do amerykańskich podrasowanych samochodów, więc nie brakowało tematów do rozmowy. Zaś Anabel...

Tak, Anabel była nadzwyczajna. Lecz z biegiem czasu do Hogana coraz wyraźniej docierało, że nie byli już dwojgiem tamtych młodych ludzi, którzy poznali się na Jamaica Avenue piętnaście lat wcześniej.

Anabel wciąż była piękna, ale nie była już siedemnastoletnią dziewczyną, która pokazała środkowy palec taksówkarzowi w samym środku Queens, tak samo jak Hogan nie był już siedemnastoletnim chłopakiem, który się w niej zadurzył.

Jedyne, co zdołał przywołać, to czułość dla dziewczyny, którą znał kiedyś, kiedy świat był najbardziej romantyczny. Był też prawie pewny, że Anabel myślała dokładnie tak samo.

Rozmawiali jak starzy przyjaciele. Żartowali jak starzy przyjaciele. Ale nie było żadnych iskier. Żadnej chemii. Żadnych tęsknych spojrzeń.

Bardzo się cieszył, że znów ją spotkał. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby w przyszłości wpadali na siebie od czasu do czasu. Ale jego fantazja, że połączy swój los z losem Anabel, wyparowała, zanim Chloe podała drugie danie. Które przypominało jakąś zupę.

- *Bisque des tomates et de la citrouille* - oznajmiła, nalewając pierwszą porcję Anabel.

- Och, Chloe, uwielbiam twoją pomidorową zagęszczaną dynią! - zawołała Anabel, pochylając głowę nad talerzem. - Tymianek i bazylia na pewno, ale przysięgłabym, że dałaś też lawendę. - Spojrzała na Chloe z udawaną irytacją. - Nie powie mi, a niech ją.

Chloe mruknęła coś w podziękowaniu, ale nie rozwiąła wątpliwości Anabel. Obeszła stół z gracją i napełniła wszystkie talerze. Na końcu podeszła do Hogana.

I tu gracja ją zawiodła. Problematyczne okazało się nie tylko nabranie odpowiedniej ilości zupy chochlą z wazy, bo kiedy już zdołała to zrobić, wylała trochę na obrus.

- Bardzo przepraszam. - Wzięła płócienną serwetkę przewie-

szoną na ręce i starała się wytrzeć plamę.

- Nie przejmuj się - odparł Hogan. - To się spierze.

- Nie o to chodzi. Nie powinnam była tego zrobić.

Już chciał ją znowu uspokoić, kiedy zauważył, że ręka jej się trzęsie. A gdy podniósł wzrok, zobaczył jej czerwone policzki, tak czerwone jak w garderobie, kiedy wiązała mu krawat.

W kuchni z pewnością jest gorąco, pomyślał.

- W porządku - rzekł, a potem zwrócił się do gości, by odwrócić ich uwagę od Chloe. - Bierzmy się do jedzenia.

Zerknął na Anabel, która wyglądała na rozbawioną. Patrzyła na Chloe.

Po chwili przeniosła wzrok na Hogana.

- Zupa ci wystygnie - powiedział do niej.

Uśmiechnęła się enigmatycznie.

- Niemożliwe, w tym pokoju jest za gorąco.

Hogan zmrużył oczy. Zabawne, bo jemu się zdawało, że jest raczej chłodno.

Zupa, jak wszystko, co przygotowała Chloe, była znakomita. Podobnie trzy pozostałe dania. Kiedy skończyli deser, wszyscy byli więcej niż usatysfakcjonowani. Oczywiście ptysie ze śmietaną i czekoladowym sosem należały do ulubionych deserów Anabel. Prawdę mówiąc, wszystko, co Chloe stawiała na stole, okazywało się ulubionym daniem Anabel.

Najwyraźniej Chloe starała się, jak mogła, pomóc Hoganowi zdobyć kobietę, którą dotąd uważał za miłość swojego życia. Nie miał pojęcia, jak jej powie, że niepotrzebnie się starała.

- Powinniśmy wypić kawę na dachu - stwierdziła Anabel, kiedy sprzątnięto ze stołu.

Wszyscy zgodzili się, że warto skorzystać z ostatnich przyjemnych wieczorów przed zapowiadany załamaniem pogody. W końcu był już listopad.

Hogan zajrzał do kuchni i powiedział Chloe, jakie mają plany, a potem zaprowadził gości do ogrodu.

Widok z dachu był ten sam co przed tygodniem, ale z jakiegoś powodu kwiaty wyglądały teraz nieciekawie, białe lampki dawały mniej światła, a panoramie miasta brakowało tamtej migotliwości. Pewnie było więcej smogu. Hogan i jego goście zajmowa-

li miejsca, kiedy na dachu pojawiła się Chloe.

Przez chwilę czekał, aż dołączy do rozmowy. Potem, kiedy podeszła otworzyć windę do transportu z kuchni, przypomniał sobie, że Chloe jest w pracy. Z windy wyjęła tacę z dzbankiem do kawy i filiżankami, dzbanuszką śmietany, cukierniczką, wiórkami czekolady i czymś, co wyglądało na jakieś przyprawy. Najwyraźniej poobiednia kawa u bogaczy też wygląda inaczej.

Kiedy Chloe zbliżyła się do nich z tacą, Anabel wzięła Hogana pod ramię. Hogan uśmiechnął się do niej, gdyż tak właśnie robiła, kiedy byli młodzi. Ale na tym podobieństwo się kończyło, ponieważ jej uśmiech nie był już figlarny ani szelmowski, nie flirtowała z nim. To był ciepły przyjacielski uśmiech.

Odciągnęła Hogana na bok, dalej od pozostałych gości, tam, skąd najlepiej widać światła miasta. Oparła się biodrem o balustradę i ujęła jego dłonie.

- I jak się czujesz na Park Avenue? - spytała cicho.

- Muszę przyznać, że nie tak to sobie wyobrażałem. Ale chyba przywyknę. Kiedyś.

Zerknął na pozostałych gości z obawą, że ich zaniedbuje, ale wszyscy byli pogrążeni w rozmowie. Chloe stawiała filiżanki na stoliku, a przy okazji ukradkiem spoglądała na Hogana.

Bardziej niż on starała się, by ten wieczór okazał się sukcesem. Nie wiedział, jak jej pokazać, że nie musi się martwić.

- Wiem, jest całkiem inaczej niż w Queens - rzekła Anabel. Wciąż trzymała jego dłonie, ale po chwili jedną rękę położyła na jego piersi. - Ale Queens na zawsze pozostanie w twoim sercu.

- Uśmiechnęła się. - Byłabym na ciebie zła, gdybyś się wyrzekł Queens. Bo wtedy nie byłbyś już sobą.

- To się nigdy nie stanie - zapewnił ją.

Anabel przekrzywiła głowę.

- Masz coś na policzku.

Znowu? Przedtem miał plamę ze smaru, którą wytarła Chloe. Nie zdążył unieść ręki, bo Anabel go wyprzedziła i delikatnie kciukiem potarła jego kość policzkową.

- Kawy? - spytała Chloe.

Oboje omal podskoczyli. Anabel opuściła rękę zażenowana. Chloe spojrzała najpierw na Hogana, potem na Anabel, i znów

na Hogana. Kiedy żadne z nich nie odpowiedziało, podsunęła filiżankę z kawą Anabel.

- Z cytryną i czekoladą - oznajmiła, po czym z jej ust padły słowa, które powtarzała cały wieczór. - Pani ulubiona.

Sposób, w jaki to powiedziała, wydał się Hoganowi nieco ironiczny.

- A to dla pana, Hogan - podjęła Chloe. - Taka, jak pan lubi.

W tym też usłyszał cień ironii.

Chloe zachowywała się jakoś inaczej. Cały wieczór zachowywała się dziwnie. Przy każdym daniu, które mu podawała, zdarzały się jakieś niespodzianki. W jego *coq au vin* nie było *vin*, jego *salade niçoise* była smaczna, ale porcja wręcz znikoma, zaś w jego ptysiu prawie nie było śmietany.

Rozumiał że jako gospodarz był zobligowany przyjąć to, co niezbyt się udało. Ale właśnie o to chodzi - Chloe zawsze trzymała poziom, nie stawiała na stole niczego, co było poniżej jej poziomu.

Hogan i Anabel wzięli kawę i podziękowali, ale Chloe nie ruszyła się z miejsca. Patrzyła na nich z oczekiwaniem. A zatem Hogan wypił łyk kawy i rzekł:

- Smakuje świetnie. Jeszcze raz dziękuję.

Anabel poszła jego śladem i uśmiechnęła się z aprobatą. Chloe nadal nie ruszyła się z miejsca.

Hogan spojrzał pytająco na Anabel, która popijała kawę, wyraźnie kryjąc rozbawienie.

- Czyli kawa jest w porządku? - Chloe spytała Anabel.

- Jest przepyszna - odparła Anabel. - Moja ulubiona. Nie wiem, jakim cudem, ale dziś wieczór jest jeszcze lepsza niż zwykle. - Zawahała się na ułamek sekundy, po czym dodała: - To pewnie dzięki towarzystwu.

Mimo półmroku Hogan widział rozlewające się na policzkach Chloe czerwone plamy. Zaciśnęła wargi, zmrużyła oczy. Stała prosto, jakby kij połknęła.

- Tak się cieszę - powiedziała tym samym cierpkim tonem. Potem przeniosła wzrok na Hogana. - Państwa szczęściem.

Zakręciła się na pięcie i ruszyła do pozostałych gości. Ale gdy tylko do nich dotarła, znów się odwróciła, by popatrzeć na Ana-

bel i Hogana.

I przyglądała im się bacznie.

- O co tu, do diabła, chodzi? - spytał Hogan.

Anabel zaśmiała się.

- Naprawdę nie wiesz?

- Nie. To jakieś kobiece sprawy?

- Coś w tym rodzaju.

- Powinienem się martwić?

- Zapewne.

O tak. To jest Anabel, jaką pamiętał. Świetnie się bawiła jego kosztem. Teraz, kiedy ją sobie przypominał bez różanego blasku nostalgii, pamiętał, że czasami naprawdę bywała nieznośna. Co nie znaczy, że on sam był ideałem. Pewnie wszystkie nastolatki bywają irytujące. Zwłaszcza kiedy ich hormony buzują.

Anabel nadal wyglądała na rozbawioną.

- Nie powiesz mi, co się dzieje z Chloe, tak? - spytał.

- Nie.

- To powiedz chociaż, czy to coś stałego, czy kiedyś znormalnieje.

- Chyba mogę bezpiecznie stwierdzić, że twoje życie już nigdy nie będzie normalne.

- Tyle sam wiem, okej? Pieniądze wszystko zmieniają.

- Nie mówię o pieniądzach.

- A o czym?

Posłała mu kolejny zagadkowy uśmiech.

- Moja rola dobiegła końca. - Stała na palcach i pocałowała go w policzek. - To był bardzo miły wieczór. I oświecający.

Cóż, przynajmniej w tej kwestii się zgadzali.

- Dziękuję za zaproszenie. Ale chyba powinnam już iść.

- Odprowadzę cię.

- Nie zostawiaj gości. Znajdę drogę. - Przez chwilę patrzyła z namysłem, po czym kiwnęła głową. - Prawdę mówiąc, naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy znajdę w życiu własną drogę.

Ruszyła do pozostałych gości. Pożegnała się z nimi i po raz ostatni podziękowała Chloe. Na koniec odwróciła się i poma-chała do Hogana.



Kiedy uniósł rękę w odpowiedzi, już zniknęła za drzwiami, by znaleźć własną drogę. Zostawiwszy Hogana, by i on znalazł swoją.

Żałował tylko, że nie ma pojęcia, dokąd ta droga go zaprowadzi.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ten wieczór to katastrofa.

Chloe wciąż sobie w duchu wymyślała, kiedy wkładała ostatnie naczynia do zmywarki. Po prostu nie da się temu zaprzeczyć. Ten wieczór był kompletnym fiaskiem. Nie tylko kolacja, kiedy to niemal z każdym daniem był jakiś problem. Ta druga katastrofa była dużo większa.

Wrzuciła tabletkę do zmywarki i włączyła ją. Urządzenie cicho obudziło się do życia, wykonując zadanie, do którego zostało przeznaczone. Dawniej Chloe też działała tak, jak powinna. Robiła to automatycznie, bez wysiłku, skutecznie, podobnie jak zmywarka, przez całe sześć lat. Sześć lat, dziewięć miesięcy i...

Oparła się o blat i schowała twarz w dłoniach. Już nie pamiętała, ile tygodni ani dni dodać do lat i miesięcy minionych od śmierci Samuela. Co się z nią dzieje?

I czemu tak ją bolał widok Hogana i Anabel? Od dnia, kiedy zaczęła pracować dla Hogana, wiedziała, że zatrudnił ją tylko dlatego, by odzyskać względy Anabel. Nie ukrywał, że wciąż pragnie dziewczyny swoich marzeń ani tego, że chce spędzić z nią życie.

Na litość boską, czemu tak się uparła przy tej kolacji, żeby ci dwoje mogli znów znaleźć się razem? Celowo wybrała ulubione dania Anabel. Pomogła Hoganowi dobrać strój, żeby zrobił dobre wrażenie.

No i osiągnęła cel. Nigdy nie widziała, żeby ktoś śmiał się tyle, co ci dwoje. Cały wieczór spędzili na rozmowie. W pewnej chwili oddalili się nawet od pozostałych gości. Anabel chciała w ten sposób pokazać, że jej zainteresowanie Hoganem jest wciąż żywe.

Chloe bała się, że nigdy nie zapomni obrazu Anabel, która jedną rękę położyła na piersi Hogana, drugą pieścąc jego policzek. Tak samo jak Chloe tydzień wcześniej. Wiedziała, co to

znaczy, kiedy kobieta dotyka mężczyzny w taki sposób. To znaczy, że jest w nim prawie zakochana.

Natychmiast się poprawiła. To nic nie znaczy. Przynajmniej w jej przypadku.

Zaczęła wycierać blaty w kuchni, choć już dwa razy je polerowała. Nie była zakochana w Hoganie. Już nigdy w nikim się nie zakocha. Miłość niesie z sobą zbyt duże ryzyko potwornego cierpienia. Już nigdy nie chciała tak się męczyć.

Zresztą to bez znaczenia, gdyż Hogan i Anabel wrócili do siebie. Po latach spełnili swoje przeznaczenie. Zatrudnienie Chloe przyniosło oczekiwany przez Hogana skutek. Zdobył, a raczej odzyskał kobietę swoich marzeń.

Już niedługo będzie gotowała dla nich dwojga. Każdego wieczoru będzie podawała kolację, słuchając ich śmiechu i czułych rozmów na temat wspólnej przeszłości. Każdego ranka poda im śniadanie. Oczywiście Anabel będzie chciała zjeść je w łóżku. Pewnie razem z Hoganiem. A zatem będzie miała okazję widzieć ich zaraz po przebudzeniu. Prawdopodobnie po seksie, gdyż apetyt seksualny Hogana był nie...

Nie będzie więcej myślała o jego apetycie seksualnym. W ogóle nie będzie myślała o Hoganie. Co najwyżej jako o swoim pracodawcy. Bo tym właśnie dla niej był. W minionym tygodniu wielokrotnie mu to powtarzała. Musi tylko o tym pamiętać. I zapomnieć...

Zacisnęła powieki, by odsunąć od siebie obrazy nocy z Hoganiem. Tymczasem one jeszcze natarczywiej ją atakowały. Co gorsza, towarzyszyły im emocje, których sobie nie życzyła. Których nie mogła do siebie dopuścić, jeśli chciała zachować zdrowy rozsądek.

Skończyła sprzątać kuchnię i nalała do kieliszka resztę wina z butelki, żeby je wziąć z sobą na górę. Kiedy dotarła na najwyższe piętro, jej wzrok padł na drzwi prowadzące na dach. Nie mogąc się powstrzymać, podeszła do nich na palcach i lekko je uchyliła, by zobaczyć, czy ktoś tam jeszcze został.

Ze zdumieniem stwierdziła, że Anabel wyszła pierwsza, aż sobie przypomniała, że często w sobotnie wieczory Anabel kładła się wcześniej, gdyż w niedzielę rano jeździła na farmę w Con-

necticut, gdzie trzymała konie.

Z dachu dochodziły jeszcze jakieś głosy – Chloe rozpoznała nie tylko głos Hogana, ale także Fivera i jego towarzyszkę. Zastanowiła się, czy nie powinna tam wejść i spytać, czy coś im podać, ale ostatecznie z tego zrezygnowała. Posłała windą dzbanek świeżej kawy, zanim sprzątnęła kuchnię, a Hogan zapewnił ją, że tego wieczoru niczego więcej nie będzie od niej potrzebował.

Podobnie jak żadnego innego wieczoru. Teraz jego potrzeby zaspokoi Anabel.

No i dobrze. Chloe cieszyła się, że dwoje dawnych kochanków znów się połączyło. Hogan będzie szczęśliwy. Anabel też zasługuje na szczęście. Chloe będzie mogła skupić się na gotowaniu, co z kolei ją uszczęśliwi.

No po prostu wszyscy będą po pachy unurzani w szczęściu.

Dzięki Bogu, że przed nią dwa wolne dni.

Hogan zawsze lubił niedziele. Niedziela była jedynym dniem, kiedy warsztat był zamknięty – chyba że wypadło coś pilnego. Lubiał zwłaszcza niedzielne poranki, mógł się wyspać i wstać, kiedy chciał, a potem bez pośpiechu zjeść śniadanie, zamiast połykać je w biegu jak w dni robocze.

Tak w każdym razie było do tej pory, dopóki nie stał się obrzydliwie bogaty. Niedziele w minionym miesiącu już nie były takie jak dawniej. Nie pracował w warsztacie, więc wszystkie jego dni wyglądały tak samo. Już nie musiał jeść w biegu. Leniwe niedzielne śniadanie nie różniło się od śniadań w pozostałe dni tygodnia.

Nie miał regularnych zajęć. Nie musiał nigdzie wychodzić ani niczego robić. Tak, robił plany, które miały przywrócić jakiś cel jego życiu, ale jego życie – ani jego niedziele – nigdy już nie miały być takie jak dawniej.

W niedziele najbardziej dokuczał mu brak Chloe. W wolne dni nie zostawała w domu, który wtedy wydawał mu się jeszcze bardziej obcy i nieprzyjazny.

Tego ranka było tak samo. Kiedy wszedł do kuchni, żeby zrobić sobie kawę, kuchnia wydała mu się bardziej pusta niż zwy-

kle. Usmażył jajka na bekonie, ale nawet jedzenie nie poprawiło mu humoru.

Stwierdził, że za krótko spał. Gus Fiver i jego towarzyska zasiedzieli się niemal do świtu, więc Hogan spał mniej więcej połowę tego czasu co zazwyczaj. W miniony weekend też spał krótko, lecz cały dzień czuł się świetnie. Przynajmniej do chwili, kiedy Chloe mu oznajmiła, że ich wspólna noc była niewybaczalnym błędem.

Zatrzymał się na tej myśli. Co on zrobi z Chloe? Jedyńm powodem, dla którego ją zatrudnił, było pragnienie odzyskania Anabel.

Nie zamierzał jej teraz zwolnić, ale powód jej obecności w jego domu uległ zmianie.

Lubił ją. Może nawet więcej niż lubił. Cały tydzień myślał o Chloe, nie o Anabel. Nawet zanim sobie uprzytomnił, że już nie chodzi mu o Anabel, ale właśnie o Chloe. Spędził kiedyś z Anabel dziesiątki nocy, zaś z Chloe tylko jedną. Ale ta jedna znaczyła dla niego o wiele więcej niż tamte razem wzięte.

Pragnął spędzić z Chloe nieskończoną liczbę nocy. Problem w tym, że ona tego nie chciała. Zakomunikowała to wystarczająco jasno.

Poza tym wciąż był jej pracodawcą. Nie chciał zatrudniać Chloe, marzyło mu się, żeby była dla niego kimś innym... nie wiedział tylko kim.

Zjadł śniadanie i zastanawiał się, co począć z resztą dnia – poza myśleniem o Chloe. I tak mu minął dzień. Wieczorem, kiedy posprzątał po kolacji, wciąż nie znalazł odpowiedzi na swoje pytanie.

Za to Chloe najwyraźniej nie marnowała czasu.

Gdy Hogan w niedzielny wieczór przygotowywał plan ogólnokrajowej sieci Warsztatów Dempseya, weszła do pokoju i podała mu białą kopertę.

- Proszę - powiedziała.

Miała na sobie obcisłe dzinsy i żółty golf, włosy związała w koński ogon, okulary zsunęły jej się na środek nosa, więc poprawiła je grzbietem dłoni. Była zdenerwowana

- Co to jest? - spytał.

- Moje dwutygodniowe wypowiedzenie.

Odsunął się od koperty, jakby wręczała mu jadowego węża.

- Co?

- Moje dwutygodniowe wypowiedzenie - powtórzyła. - Korzystam z artykułu dwunastego paragraf A w umowie, więc tak naprawdę to dwudniowe wypowiedzenie.

Teraz Hogan wstał, nie biorąc od niej koperty.

- Nie możesz tego zrobić.

- Mogę. Ten paragraf daje mi prawo do natychmiastowego odejścia w przypadku *force majeure*.

Hoganowi kręciło się w głowie, jednak zdołał zauważyć:

- Klauzula siły wyższej ma zastosowanie wyłącznie w przypadku spraw poza naszą kontrolą, jak wojna, strajki czy katastrofy naturalne.

- Zgadza się.

Czekał, aż mu wyjaśni, co takiego się stało, ale Chloe milczała. Spytał więc:

- Jaka siła wyższa każe ci wręczyć mi dwutygodniowe, przepraszam dwudniowe wypowiedzenie?

Zawahała się, przenosząc spojrzenie z Hogana na półki z książkami.

W końcu odparła:

- Niewykonalność obowiązku.

Hogan zmrużył oczy.

- Niewykonalność? Co to, do diabła, znaczy?

- To termin prawniczy. Poszukaj sobie. A teraz wybacz, tak-sówka czeka.

- Chwileczkę. To nie jest dwudniowe, tylko dwuminutowe wypowiedzenie.

- Ten dzień jeszcze nie dobiegł końca, a jutro się nie zaczęło - odparła. - To dwa dni. Moi nowi pracodawcy już przygotowali dla mnie mieszkanie, więc nie ma powodu, żebym opóźniała przenosiny.

Hogan przesunął się w lewo, by stanąć na linii jej wzroku. Gdy tylko to zrobił, wlepiła wzrok w podłogę.

- Masz już nowego pracodawcę?

- Tak.

Oczywiście. Odkąd zaczęła dla niego pracować, musiał odpie-  
rać ataki co najmniej sześciu osób poza Anabel, które propono-  
wały Chloe wyższe wynagrodzenie.

Zrobiliby wszystko, by zatrzymać Chloe, bo dzięki temu Ana-  
bel się nim interesowała. Teraz pragnął ją zatrzymać z całkiem  
innego powodu, którego w dalszym ciągu nie potrafił nazwać.

- Kto to jest? - spytał.

- Nie wolno mi tego mówić - odparła, wciąż wlepiając wzrok  
w podłogę. - Zresztą nie znasz tej osoby.

- Chloe, jeśli to kwestia pieniędzy...

- Nie chodzi o pieniądze.

Nadal na niego nie patrzyła, więc spróbował z innej strony.

- Czy warunki pracy u mnie nie spełniają twoich wymagań?

- Warunki pracy są... - Urwała, po czym podjęła: - Warunki  
pracy są w porządku.

- Jeśli nie chodzi o pieniądze ani o warunki pracy, czy... - Mu-  
siał być pewien. - Czy chodzi o tego klopa?

Podniosła wzrok, ale szybko zamknęła oczy i potrząsnęła głó-  
wą.

Choć ją zapewnił, że więcej o tym nie wspomni, spytał:

- Czy chodzi o to, co stało się po klopie?

Mocniej zacisnęła powieki.

- Muszę iść.

Nie miał pojęcia, co zrobić. Nie stwierdziła wyraźnie, że to  
z powodu seksu jej obowiązki stały się niewykonalne - cokol-  
wiek to znaczy - a jednak na to wskazywała jej reakcja na jego  
pytanie.

Czemu czekała z tym cały tydzień?

Odpowiedź przyszła do niego natychmiast. Zanim wylądowali  
w łóżku, Chloe obiecała, że urządzi kolację, na którą zaproszą  
Anabel. Została dość długo, by spełnić obietnicę. Teraz, kiedy  
uznała, że Hogan i Anabel porozumieli się co do dalszego  
wspólnego życia, nie widziała powodu, by dłużej tu zostać.

Rzeczywiście gdyby Anabel powróciła do jego życia, sytuacja  
mogłaby być krępująca. Może Chloe chciała uniknąć takiego  
scenariusza. Ale ten problem zniknął. Hogan się uspokoił.

- Nie będziemy już spotykać się z Anabel - oznajmił.

Na te słowa Chloe podniosła wzrok. Tym razem to ona spytała:

- To znaczy?

Wzruszył ramionami.

- Że nie będziemy się spotykać. A w każdym razie umawiać się na randki. Możemy wciąż widywać się jak przyjaciele.

- Nie rozumiem.

Czyli jest ich dwoje.

Hogan spróbował jej wyjaśnić:

- Wczoraj wieczorem uprzytomniliśmy sobie, że nie ma już między nami nic z tego, co było kiedyś. Wyrośliśmy z tego. Żadne z nas nie chce zaczynać od nowa.

- Przecież tęskniłeś za nią połowę życia.

To akurat Hogan już sobie wytłumaczył.

- Nie, to siedemnastolatek we mnie za nią tęsknił. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo ten dzieciak dojrzał. Trzydziestotrzylatek chce czegoś innego. - Skoro już zaczął, to dokończył: - Trzydziestotrzylatek chce kogoś innego.

No dobrze, może nie powiedział wszystkiego. Wyczuwał sytuację. Zdawało się jednak, że Chloe za nim nie nadała. A zatem wykrztusił:

- On chce ciebie, Chloe. Ja chcę ciebie.

Sądził, że tym oświadczeniem ją uszczęśliwi. Tymczasem skuliła się, jakby ją uderzył.

- To niemożliwe.

Teraz Hogan poczuł się, jakby ktoś mu przyłożył. W sam środek brzucha.

- Za późno. Stało się.

- Nie mogę się z tobą wiązać.

- Dlaczego?

- Bo z nikim nie mogę się wiązać.

- Ale w poprzedni weekend...

- Poprzedni weekend nie powinien był się zdarzyć - przerwała mu.

- Ale się zdarzył, Chloe. I nigdy mnie nie przekonasz, że to nie miało na ciebie żadnego wpływu. Na mnie miało ogromny wpływ.



- Tak, zdecydowanie miało na mnie wpływ - zapewniła, chociaż jej ton wskazywał, że nie czuła się z tym dobrze.

- W takim razie czemu...

- Bo nie mogę tego zrobić. Byłam kiedyś zakochana i omal mnie to nie zniszczyło. Nigdy więcej nie chcę nikogo tak kochać.

- Chloe...

- Ty też doświadczyłeś straty - wtrąciła. - Straciłeś rodziców, wiesz, jak to boli.

Hogan skinął głową.

- Tak, ale...

- To pomnóż ten ból przez sto - powiedziała. - Przez tysiąc. Bo choć strata rodziców czy dziadków jest tragedią, jeszcze większą tragedią jest strata kogoś, z kim planowałeś spędzić resztę życia.

Jej oczy wypełniły łzy, które potoczyły się po policzkach.

- Jeśli tracisz kogoś takiego w starszym wieku, kiedy już szmat wspólnego życia macie za sobą, zostaje ci masę wspomnień z tych lat, które pomogą ci dotrwać do twojego końca. Masz dzieci, które są dla ciebie pociechą, które noszą w sobie cząstkę utraconej osoby. Mogą mieć uśmiech swojego ojca albo lubić to, co on lubił, więc ilekroć je widzisz, przypominasz sobie, że ten człowiek nie do końca odszedł. Jakaś jego część żyje w dzieciach. Idziesz przez dom, w którym spędziliście lata, i przypominasz sobie dziesiątki Świąt Dziękczynienia, Bożego Narodzenia i urodzin, które razem świętowaliście. Oglądając się za siebie, widzisz całe wasze długie wspólne życie. Ale kiedy los odbiera ci tego człowieka, zanim mieliście szansę zbudować wspólne życie...

Jedną ręką zdjęła okulary, drugą otarła łzy.

- To największa strata, jakiej doznasz w życiu - oznajmiła. - Dzieci, które planowaliście, wasze plany, wszystko to umiera razem z nim. Taka strata powoduje ból, który nigdy cię nie opuści, a jednocześnie wiesz, że już nigdy nie wolno ci tak cierpieć. A żeby uniknąć takiego cierpienia, nie wolno znów nikogo pokochać. Muszę iść, zanim...

Raptownie urwała, zakrywając oczy.

Hogan nie miał pojęcia, jak zareagować. Choć poznał stratę, nie wyobrażał sobie nawet, co przeżywała Chloe. Do tej pory nie znał takiej miłości. Ale nawet po wszystkim, co powiedziała – do diabła, z powodu tego, co powiedziała – chciał doświadczyć takiej miłości.

Sądząc z ostatnich słów Chloe, może istnieje choć cień szansy na to, że mogłaby znów pokochać.

– Wybacz, Chloe – odrzekł. – Śmierć twojego męża to tragedia. Ale z tego powodu nie możesz przestać istnieć, uciekać przed życiem.

– Mogę.

– Nie możesz. I nie zrobisz tego.

Ściągnęła brwi.

– Skąd wiesz?

Wzruszył ramionami i lekko się uśmiechnął.

– Bo chyba właśnie mi powiedziałaś, że mnie kochasz.

– Nieprawda – zaprzeczyła szybko. – Nikogo nie Kocham. Nikogo nie pokocham. Nie mogę.

– Chcesz powiedzieć, że nie chcesz.

– Dobrze, nie chcę.

– Myślisz, że można o tym decydować?

– Tak.

– Chloe, musimy porozmawiać.

– Nie ma o czym mówić.

Zanim zaproponował, dodała:

– Przepraszam, że cię zostawiam, w moim wymówieniu znajdziesz kilka rekomendacji osobistych szefów kuchni, którzy spełnią twoje oczekiwania. Dziękuję ci za wszystko.

Potem wbiła mu nóż w serce, wypowiadając słowo, którego Anabel nigdy nie powiedziała, to jedno słowo, które zostawiło mu nadzieję na długie lata.

– Żegnaj.

To był naprawdę cios w samo serce.

Nie znajdował żadnej riposty, która by ją zatrzymała. Patrzył tylko na kobietę, która szybkim krokiem opuściła pokój i ruszyła na schody. W uszach miał jej ostatnie słowo, z całą jego ostatecznością.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Chloe stała w kuchni Huga i Lucie Fleurych, zastanawiając się znów – przez ostatnie trzy tygodnie codziennie się nad tym zastanawiała – gdzie wylądowała. Nowa sytuacja była dla niej idealna, ponieważ Hugo i Lucie dorastali w Paryżu i przyjechali do Nowego Jorku ze względu na jego nową pracę, więc byli tak paryscy jak to tylko możliwe poza Paryżem.

Nie kwestionowali niczego, co Chloe stawiała przed nimi na stole, nigdy nie musiała im niczego tłumaczyć. Ich apartament na Central Park West był tak urządzony, że Chloe czuła się, jakby mieszkała w Wersalu.

Na co dzień mówiła po francusku. Wszystko, co mogła powiedzieć o nowej pracy, to: *C'est magnifique!*

Czemu zatem nie czuła się *magnifique*? Czemu zamiast tego czuła się *blasé*? Czemu żadne danie nie wychodziło jej tak, jak powinno? A teraz czekało ją przygotowanie kolacji dla dwunastu osób.

Normalnie takie wyzwanie sprawiłoby jej radość, tymczasem teraz myślała wyłącznie o ostatniej kolacji, którą przygotowała, i jej skutkach...

Co prawda państwo Fleury'owie nie skarżyli się na jej pracę. Chwalili wszystko, co im podawała. I chyba nie zdawali sobie sprawy – albo nie przejmowali się tym – że płacili jej więcej, niż powinni, a jedzenie na takie przyjęcie mogli zamówić taniej w niemal każdym bistro w Nowym Jorku.

Chloe miała tę świadomość i wyrzuty sumienia. Od zakończenia pracy u Hogana nie była sobą. A przecież opuściła go właśnie z obawy, że przestanie być w najlepszej formie.

Zgoda, może to nie był najważniejszy powód. Tak czy owak zaczynała się obawiać, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w dobrej formie.

Pierwszego tygodnia po odejściu Hogan dzwonił do niej co-

dziennie. Nie odbierała jego telefonów. Zostawiał jej wiadomości, prosząc o spotkanie, choćby w jakimś publicznym miejscu, bo choć nie rozumiał, dlaczego nie chce mu wyjawić nowego adresu, szanował to.

Chloe miała ochotę usunąć wszystkie wiadomości Hogana bez odsłuchiwania, jednak coś kazało jej go wysłuchać... a na dźwięk jego głosu trochę się wzruszyła. I niczego nie usunęła.

Bo to nie byłoby w porządku. Nawet jeśli nie zamierzała się z nim spotkać.

Pragnę cię.

Te dwa słowa, które powiedział wieczorem, gdy odchodziła z jego domu, wciąż dzwoniły jej w uszach. Ona też pragnęła Hogana. Właśnie dlatego nie mogła z nim zostać. Takie pragnienie prowadzi do miłości, a miłość do potrzeby. Zaś potrzebując kogoś, narażamy się na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, gdy ta osoba znika.

Brak człowieka, którego się potrzebuje, jest jak brak powietrza. Albo wody. Albo pożywienia. Bez tych rzeczy usycha się i umiera.

„Chyba właśnie mi powiedziałaś, że mnie kochasz”.

Także te słowa jej nie opuszczą. Ponieważ, choć chciała temu zaprzeczyć i z całej siły z tym walczyła, wiedziała, że pokochała Hogana. Ale go nie potrzebowała. Nie może dopuścić do tego, by go potrzebowała. A jedynym sposobem na to jest więcej go nie widzieć.

Niestety gdy weszła do salonu państwa Fleurych w bielusińskim uniformie z tacą tartinek, przekonała się, że jej determinacja, by nie spotkać Hogana, jak wiele innych rzeczy w życiu, nie zależy tylko od niej.

Albowiem państwo Fleury'owie zaprosili go na kolację.

A może zaprosili Anabel, pomyślała na widok byłej pracodawczyni siedzącej u boku Hogana, i to ona go przyprowadziła. Jakkolwiek było, Chloe znowu znalazła się z nim w jednym pokoju, a ten pokój skurczył się nagle do rozmiarów makaronika.

Hogan miał na sobie koszulę, kamizelkę i krawat, które dla niego wybrała na przyjęcie w jego domu. Za to podniszczone dżinsy zamienił na nowe.

Gdy przystanęła jak zamurowana, Hogan, jakby wyczuł jej obecność, spojrzął na nią. Uśmiechnął się jednym z tych swoich rozbrajających uśmiechów i uniósł rękę na powitanie.

Chloe miała tylko jedno pragnienie – uciec do kuchni i schować się do szafki, zapomnieć, że go widziała. Bo ten widok przypomniał jej, że go kocha. I pragnie. I bardzo – ale to bardzo – potrzebuje.

Zamiast tego siłą woli ruszyła naprzód.

Jakimś cudem się nie potknęła ani nie zrzuciła na nikogo tartinek. Co jeszcze bardziej zdumiewające, spojrzała w oczy Hogana, gdy zatrzymała się przed nim i Anabel.

Ale to Anabel przerwała ciszę.

- Och, Chloe, uwielbiam twoje *brie gougères*. - Wzięła dwie tartinki. - Tak bardzo je uwielbiam, że muszę wziąć jedną dla Hillary Thornton. Porozmawiajcie sobie.

Po tych słowach się oddaliła, a Hogan i Chloe po raz pierwszy od prawie miesiąca zostali sami. Sami w tłumie ludzi, którzy czekali, żeby spróbować jej *brie gougères* i jej *choux de Bruxelles citrons* i pół tuzina innych *hors d'oeuvres*, które przygotowała na ten wieczór, a z których żadna nie była w pełni udana.

- Cześć - rzekł cicho Hogan.

- Cześć.

- Jak leci?

- W porządku - odparła, choć było to dalekie od prawdy. Jej samopoczucie nie było w porządku. Jej dania nie były w porządku. Jej życie nie było w porządku.

Przez chwilę milczeli, stojąc na środku pokoju, zdenerwowani jak para nastolatków na pierwszej randce.

W końcu Hogan spytał:

- Co robisz po przyjęciu?

I znów Chloe odpowiedziała automatycznie:

- Sprzątam w kuchni.

Uśmiechnął się, a Chloe poczuła podniecenie.

- A później?

- Ja... Pewnie wypiję kieliszek wina.

- Potrzebujesz towarzystwa?

Powinna mu odpowiedzieć, że nie potrzebuje. Od wielu mie-

sięcy, tygodni i dni – nie pamiętała dokładnie, ilu. Wiedziała za to, że kłamie.

Od dawna potrzebowała towarzystwa, po prostu sobie na to nie pozwalała. Aż do pewnej pięknej nocy przed trzema tygodniami, sześcioma dniami, dwudziestoma czterema godzinami i pięćdziesięcioma dwiema minutami, nocy, której nigdy nie zapomni.

Jednak nie mogła tego wyjawić Hoganowi.

– Anabel przyjaźni się z państwem Fleurymi – powiedział. – Podobno widok z ich dachu jest spektakularny.

– To prawda – przyznała Chloe.

– Byłaś tam? – zdziwił się.

Odkąd zaczęła tu pracować, już parę razy wchodziła na dach. Noce zrobiły się chłodne i wilgotne, w Nowym Jorku zima zagościła na dobre.

Mimo wszystko Chloe tam wchodziła. Widziała cały Nowy Jork, migoczący jak diamenty rozrzucone na czarnym aksamicie. Ale widok nie był nawet częściowo tak piękny jak z dachu Hogana. Może dlatego, że Hogana tam nie było.

– Mogłabyś mi to pokazać? Jak skończysz pracę. Anabel mówiła, że imprezy u państwa Fleurych kończą się późno, a ona nie znosi wychodzić pierwsza.

– Z twojej kolacji wyszła pierwsza – zauważyła.

– Dlatego, że miała wtedy misję.

– Jaką misję?

Hogan znów się uśmiechnął, ale niczego nie wyjaśnił.

– O której kończysz?

– Może o jedenastej?

– Świetnie. Spotkajmy się na dachu o jedenastej.

Powinna odmówić. Tymczasem odparła:

– Okej.

Hogan spojrział na tacę.

– Co polecasz?

Co za podchwytliwe pytanie.

– Spróbuj tapenade.

Poniewczasie sobie uświadomiła, że Hogan pewnie nie ma pojęcia, co to takiego i już chciała mu wskazać tapenade, kiedy

sięgnął po właściwą rzecz.

Zdumienie musiało być widoczne na jej twarzy, gdyż powiedział:

- Odrobiłem lekcje.

Potem zniknął w tłumie, a Chloe przypomniała sobie, że jest w pracy. Co prawda nic z tego, co przygotowała na ten wieczór, nie wyszło jak należy.

Mimo to impreza się udała, a ona poradziła sobie nawet z obsługiwaniem Hogana. Kiedy posprzątała kuchnię, co także poszło zaskakująco gładko, znów poczuła się dawną sobą. A w każdym razie tą gotującą dawną sobą.

Bo ta, która nie zajmowała się gotowaniem, wciąż była nieco rozedrgana.

Zdażyła jeszcze wziąć szybki prysznic i zmyć z siebie resztki *Moules à la crème Normande* i *carottes quatre epices*. Potem włożyła dzinsy oraz gruby czarny sweter i ruszyła na dach.

Hogan już na nią czekał. Włożył kurtkę, by ochronić się przed chłodem, i stał z rękami w kieszeniach, patrząc na pejzaż Nowego Jorku.

Księżyc w pełni jak srebrny dolar wisiał nad jego głową. Serce Chloe waliło tak mocno, gdy przyglądała się Hoganowi, aż w głowie jej się zakręciło. Jak ona przetrwała bez niego prawie miesiąc?

Choć nie przypuszczała, że usłyszał jej kroki, odwrócił się. Noc była zimna, lecz im bardziej się do niego zbliżała, tym robiło się cieplej. Przystanęła dobre trzydzieści centymetrów przed Hoganem, ponieważ nie ufała sobie.

- Cześć - powiedział znów.

- Witaj.

- Miło cię widzieć.

- Ciebie też.

Minęła chwila, a oni tylko patrzyli na siebie.

- Sprawdziłem tę niewykonalność - rzekł w końcu Hogan.

Ledwie pamiętała, że użyła tego określenia jako wymówki, by zerwać z nim umowę. Jak mogła uznać, że jedynym sposobem na przetrwanie jest rozstanie z Hoganem? Od chwili odejścia z jego domu każdego dnia po trochu umierała.

- Tak?

- Sięgnąłem nawet po słownik terminów prawniczych. Więc głównie chodzi o to, że można zostać zwolnionym z obowiązku, jeśli ten obowiązek staje się zbyt kosztowny, zbyt trudny albo zbyt niebezpieczny.

- Mniej więcej o to chodzi, tak.

- Więc doszedłem do wniosku, że twoje obowiązki nie mogły się stać zbyt kosztowne, bo ja za wszystko płaciłem.

Milczała.

- Niczego ci też nie utrudniałem, więc twoja praca u mnie nie stała się z czasem bardziej problematyczna - ciągnął. - Sprawiałaś wrażenie, że wszystko przychodzi ci z łatwością, a także, że kochasz swoją pracę.

- Dziękuję. Tak, kochałam swoją pracę. To znaczy Kocham - poprawiła się. Po prostu dla nikogo tak nie lubiła gotować jak dla Hogana. Zresztą dla niego lubiła nie tylko gotować.

- Czyli jeśli twoja praca nie była zbyt kosztowna ani zbyt trudna - stwierdził - w takim razie musiała być zbyt niebezpieczna.

Bingo. Miłość do czegośkolwiek - czy kogokolwiek - poza gotowaniem była dla Chloe naprawdę niebezpieczna. Tak uważała od śmierci Samuela. Teraz jednak zaczynała myśleć, że istnieje większe niebezpieczeństwo. Na przykład brak miłości. Przez sześć minionych lat jej unikała, wmawiając sobie, że dzięki temu przeżyła. A prawda była taka, że każdego dnia po trochu umierała. Każdego dnia traciła jakąś część siebie. Aż stała się skorupą kobiety, którą niegdyś była.

Kiedy poznała Hogana, z tej skorupy znów zaczęła wyłaniać się kobieta.

- Tak - odparła, nie rozwijając tematu.

- A co takiego było niebezpieczne? Czy noże były za ostre? Mogę je owinąć bandażami, nie ma sprawy.

Chloe się uśmiechnęła, ale wciąż milczała.

- To może kuchnia za bardzo się nagrzewała? Jeśli tak, kupię klimatyzator. Albo wybijemy w ścianie kolejne okno.

Chloe znów powściągnęła uśmiech na myśl o klimatyzatorze wystającym z okna na Upper East Side, z którego skroplona



para kapie na szykownie ubranych przechodniów. Znow pokręciła głową.

- Okej - ciągnął. - Miałem nadzieję, że nie o to chodzi. Czyli chodzi o świeżą nieprzetworzoną żywność, tak? Któregoś dnia naukowcy oznajmią nam, że to trucizna i że żywność w puszkach jest najlepsza dla naszego organizmu.

- Przestań - odezwała się w końcu. Bo znow się w nim zakocha.

Potem zdała sobie sprawę, że zakochała się już w Hoganie miliony razy, odkąd go poznała. Jaka to różnica, czy zakocha się w nim po raz kolejny?

- Cóż, skoro to nie noże są winne ani temperatura w kuchni, ani rzekomo zdrowa żywność, to czemu praca u mnie była tak niebezpieczna?

W końcu zmusi ją do wyjawienia prawdy. Ale może powinna to powiedzieć. Przyznanie się do problemu to pierwszy krok, prawda? Gdyby jeszcze była w stanie wymyślić kolejne jedenaście kroków programu „Jak się odkochać”, sprawa byłaby załatwiona. Niestety zaczynała sobie uświadamiać, że zakochanie się w Hoganie nie jest takie złe.

- To przez ciebie - przyznała cicho. - Bałam się, że się w tobie zakocham. - Zamknęła oczy, żeby było jej łatwiej. - Nie, nie o to chodzi. To znaczy nie o to, że się zakocham. Bo już się zakochałam.

Hogan nie odpowiedział. Jego uśmiech był zupełnie inny niż dotychczas. Nie było w nim cienia żartu. Była tylko miłość. Dużo miłości.

- Nie możesz z tym walczyć, Chloe - powiedział. - Uwierz mi, ja to wiem. Przez miesiąc starałem się z tym walczyć. Próbowałem dać ci czas, żebyś się z tym uporała. Żeby sam to przemyślał. Ale mój jedyny wniosek jest taki, że cię kocham. - Powiedział to rzeczowo, a mimo to poczuła miłe ciepło.

- Naprawdę?

- No. I wiem, że ty też mnie kochasz.

- Tak.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy w milczeniu, jakby potrzebowali czasu, by to w nich zapadło. Chloe co prawda nie potrze-

bowwała ani minuty. Wiedziała, co czuje do Hogana, i to już tamtej nocy, kiedy się kochali.

Hogan podszedł do niej tak blisko, że mógł jej dotknąć.

- Myślisz, że przestaniesz mnie kiedyś kochać?

Odpowiedziała bez namysłu:

- Wiem, że nie przestanę.

- Ja też nie przestanę cię kochać.

Pogłaskał jej policzek. Chloe przechyliła głowę.

- Czyli - podjął - jeśli nasze uczucie jest wzajemne i nie zamierzamy przestać się kochać, to czemu nie jesteśmy razem?

Na to pytanie też знаła odpowiedź. Ponieważ strata Hogana za bardzo by bolała. Ale to była głupia odpowiedź, ponieważ odchodząc z jego domu, też mogła go stracić, gdyby więcej się nie spotkali. Więc chodzi raczej o to, że do końca swoich dni żyłaby w lęku, że go straci. Okej, więc... Musi być jakiś powód. Gdyby tylko mogła sobie przypomnieć, co to było.

- Za późno, Chloe - powiedział, gdy zbyt długo milczała. - Kochamy się i to się nie zmieni. Tak, to przerażające - dodał, jakby czytał w jej myślach. - Ale nie sądzisz, że perspektywa życia osobno jest jeszcze gorsza?

Musiała mu przyznać rację. Samotność po śmierci Samuela była straszna. Chloe nie lubiła samotności. Tolerowała ją, ponieważ nie przypuszczała, że może być inaczej. Czas spędzony z Hoganem był jej najlepszym okresem od wielu lat.

Już nie pamiętała, od ilu lat, miesięcy, tygodni i dni. Bo już nie była sama. A przynajmniej nie musiała być sama. Chyba że wybierze samotność.

Hogan miał rację. Miłość budzi lęk. Ale perspektywa dalszego życia bez niego jest o wiele gorsza.

- Chcę do ciebie wrócić i znów dla ciebie pracować - oznajmiła.

Potrząsnął głową.

- Po prostu wróć. Co do reszty, później to obgadamy.

Wreszcie się uśmiechnęła. Po raz pierwszy od długiego czasu poczuła się szczęśliwa.

- Dobrze. Ale nadal nie mam zamiaru robić ci klopsa z taco.

Hogan odpowiedział uśmiechem.

- Nie martw się. Możemy razem gotować. Muszę cię przekonać do pieczonego kurczaka.

Zamiast się skrzywić, Chloe się zaśmiała. Stała na czubkach palców, objęła Hogana za szyję i pocałowała go. On zaś całował ją tak, jakby była najsmaczniejszym kąskiem w jego życiu.

Chloe nie wiedziała, jak trafili do jej sypialni, nie zwracając na siebie uwagi gości w salonie, choć po drodze parę razy omal się nie przewrócili, idąc cały czas w objęciach i zrzucając z siebie ubrania.

Hogan zamknął drzwi jej pokoju, po czym przycisnął do nich Chloe i całował ją w nieskończoność.

Była już częściowo rozebrana, w staniku i rozpiętych dżinsach. Rozpięła guzik jego spodni, pociągnęła w dół suwak i wciśnęła palce za gumkę bokserek. Hogan zsunął jej dżinsy do kolan i zaczął ją pieścić. Chloe pomrukiwała z satysfakcją, szczypiąc zębami jego wargę. Hogan wolną ręką odsłonił jej piersi.

Oddech Chloe przyspieszył. Jej ręka przesuwiała się szybciej w górę i w dół jego członka. Kołysał biodrami, aż oboje znaleźli się krok od orgazmu. I właśnie wtedy Hogan odsunął się od drzwi, ciągnąc za sobą Chloe w powolnym tańcu w stronę łóżka.

Gdy tam dotarli, Chloe zdjęła mu koszulę i rzuciła ją na podłogę, a następnie ściągnęła mu dżinsy. On nie pozostał jej dłużny i pozbawił ją reszty ubrań.

Kiedy pochyliła się, by zdjąć z łóżka narzutę, Hogan stanął tuż za nią i ujął w dłonie jej piersi. A kiedy jeszcze się pochyliła, by odsunąć kołdrę, położył dłonie na jej plecach i wszedł w nią powoli i głęboko.

Krzyknęła, zaciskając palce na pościeli.

Mocno ścisnął jej biodra i przez długie chwile poruszał się w niej energicznie, zamieniając jej ciało w ogień. Wreszcie się z niej wycofał, nie przestając pieścić jej palcami, po czym przewrócił ją na łóżko, padając na nie w ślad za nią. Wciągnął na siebie Chloe i przesunął ją wyżej, bliżej swoich warg i języka. Nie minęła minuta jego starań, kiedy poczuła pierwszą falę orgazmu. Cicho jęknęła, czekając na kolejną, a kiedy ta pojawiła się i zniknęła, napłynęła następna.

Kiedy już spodziewała się, że to koniec, Hogan przewrócił ją na plecy. Gdy w nią wszedł, jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Hogan szczytował razem z nią. Potem oboje leżeli na plecach, łapiąc oddech i usiłując zebrać myśli. Chloe nigdy nie doświadczyła takiej erotycznej satysfakcji. Nigdy nie czuła się tak spełniona i szczęśliwa. I tak wolna od lęku.

Miłość nie jest przerażająca, pomyślała. Brak miłości może budzić przerażenie. Miłość jest prosta, więc będzie kochała Hoga. Tak długo, jak to możliwe. Ponieważ życie bez miłości to nie jest życie.

Upalny letni dzień w Brooklynie wręcz nakazywał zjeść coś zimnego na deser. A zatem Chloe postanowiła dodać *tulipes de sorbet* do dziennego menu swojej restauracji La Fin des Haricots.

Sorbet świetnie pasował do lekkich dań kuchni francuskiej, z których zasłynęła jej mała restauracja w Williamsburgu w ciągu minionego półtora roku. Poza tym robi przyjemność Hoga, który co prawda uwielbiał lody czekoladowe, ale sorbet był o niebo lepszy.

Podczas ostatnich osiemnastu miesięcy zawarli wiele kompromisów. On sprzedał dom dziadka, a także jego inne nieruchomości, poza tą jedną w Paryżu, gdzie planowali spędzać sierpień każdego roku, i gdzie spędzili miesiąc miodowy ostatniego lata.

Potem kupili oryginalny budynek z czerwono-brunatnego piaskowca, który od tamtej chwili remontowali. Na podwórzu za domem Chloe urządziła niewielki ogród i zbudowała małą szklarnię. Warsztaty Dempseya stały się rzeczywistością i świetnie się rozwijały – Hogan otworzył już trzy w Nowym Jorku i wykupił miejsce na pięć kolejnych. Restauracja La Fin des Haricots stała się ulubionym lokalem w okolicy. Codziennie ciężko pracowali, a każdej nocy z równą pasją się kochali, zaś w niedziele...

Niedziele były święte, to był jedyny dzień, który poświęcali wyłącznie sobie. Zazwyczaj sporą część dnia spędzali w łóżku, jedząc tam, rozmawiając, leniąc się, a przede wszystkim kocha-

jąc.

Nową pasją życiową Hogana był fundusz stypendialny imienia jego rodziców dla dzieci z jego starej i nowej dzielnicy. Ofiarował też hojne datki na fundusz imienia Samuela. Straty, jakie ponieśli w przeszłości, miały pomóc w szczęśliwej przyszłości innych.

Życie jest dobre, pomyślała Chloe, kończąc przygotowywać menu i podając je głównemu kelnerowi, by je przepisał kredą na tablicy przy drzwiach. Potem zapięła bluzę szefa kuchni – w swoim rozmiarze, bo bluzę Samuela spakowała i schowała – i ruszyła do kuchni.

Swojej kuchni. Gotowała dla innych, ale to było miejsce, gdzie zapuszczała korzenie, miejsce, gdzie zamierzała żyć długo i szczęśliwie z mężczyzną, którego nigdy nie przestanie kochać. Wciąż trochę ją przerażało, jak bardzo kocha Hogana. Jednak dużo bardziej przerażająca była myśl, że mogłaby go nie kochać.

Hogan, jak zwykle, spotkał się z nią pod koniec jej dnia pracy. Stał w drzwiach kuchni w zabrudzonym smarem kombinezonie. Bo to był także koniec jego dnia pracy.

Zjedli razem kolację przy kuchennym stole, a później, trzymając się za ręce, wrócili do domu. Otworzyli butelkę wina. Wypili ją na dachu. Planowali wyjazd do Paryża w sierpniu. Potem poszli razem do łóżka, by się kochać, obudzić się obok siebie i razem zaczynać kolejny dzień.

Bo najważniejsze było słowo razem. Niezależnie od tego, co i gdzie robili. I to, pomyślała Chloe, jak każdej nocy, kiedy gasili światło, było naprawdę *magnifique*.

Tytuł oryginału: A Beauty for the Billionaire  
Pierwsze wydanie: Harlequin Desire, 2017  
Redaktor serii: Ewa Godycka  
Korekta: Urszula Gołębiewska

© 2017 by Elizabeth Bevarly  
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa 2018

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.  
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Gorący Romans są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN: 978-83-276-3679-9

Konwersja do formatu MOBI:  
Legimi Sp. z o.o.

# Spis treści

Strona tytułowa  
Prolog  
Rozdział pierwszy  
Rozdział drugi  
Rozdział trzeci  
Rozdział czwarty  
Rozdział piąty  
Rozdział szósty  
Rozdział siódmy  
Rozdział ósmy  
Rozdział dziewiąty  
Rozdział dziesiąty  
Strona redakcyjna